

Romański krzyż

Sławiński Kazimierz



calibre 0.9.27

Powieść co miesiąc - 084 - Powieść co miesiąc

Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07... Ewa wzywa 07...

Kazimierz Sławiński

Romański krzyż

ISKRY Warszawa 1975



- SP-LTF, tu wieża Wrocław, zezwalam startować.

- Wieża Wrocław, tu SP-LTF, zrozumiałem.

Kapitan Włodzimierz - Chudzik, dowódca dwusilnikowego AN-24, powoli przesunął do przodu dźwignie gazu. Oba silniki zagrały miękko na pełnej mocy. Samolot nabierał prędkości i po bardzo krótkim rozbiegu oderwał się od betonowej drogi wrocławskiego lotniska. Mechanik zredukował ciśnienie i schował podwozie. Samolot piał się w górę. Plan lotu przewidywał wysokość pięć tysięcy metrów. Na dwóch tysiącach zaczynały się już chmury. Lecieli nad miastem poprzecinanym setkami ulic, dziesiątkami kanałów i wijącą się wstęgą Odry. Na wysokości dwóch tysięcy metrów wessały ich chmury. Po paru minutach lotu milczenie przerwał drugi pilot.

- Wrocław mamy już za sobą.

- Tak - zgodził się Chudzik - za pięćdziesiąt minut będziemy w Warszawie, a potem...

Kapitan przerwał w połowie zdania. Usłyszał z tyłu podniesiony głos mechanika pokładowego i trzaśnięcie drzwi. Obejrzał się za siebie. Koło radiostacji stał poblady mechanik, drzwi były zamknięte, a w korytarzyku dla załogi, w którym poza dwójką pilotów i mechanikiem nie wolno nikomu przebywać, tkwił obcy mężczyzna.

- Bierz kurs na Wiedeń! - rozkazał Chudzikowi.

- Co?! - w głosie kapitana wyczuwało się raczej zdziwienie niż przestach. Nie był przyzwyczajony, by na pokładzie samolotu ktoś mu rozkazywał.

- Kurs na Wiedeń! - powtórzył terrorysta. - Nie mam nic do stracenia. Rozumiesz!

Przekonywającym argumentem miał być pistolet trzymany w prawej dłoni. Kapitan rozejrzał się po kabine. Drugi pilot wykazał całkowite „desinteressement”. Sterroryzowany mechanik stał dalej w kącie kabiny. Chudzik położył samolot w łagodny zakręt.

- Dostrój radiokompas do wiedeńskiej radiostacji - rozkazał drugiemu pilotowi.

Terrorysta uważnie przyglądał się ich czynnościom. Samolot skręcał na zachód nabierając wysokości. Drugi pilot manipulował przy radiokompasie.

- Dostroiłem na Wiedeń - powiedział z naciskiem.

Kapitan zaczął zgrywać wskazówkę radiokompasu. Rzucił okiem na busolę. Wskazywała kurs północno-zachodni. Chudzik pojął natychmiast sytuację. Jego „drugi” dostroił się do radiolatarni w Berlinie.

Jeżeli bandzior nie zorientuje się, będzie okay - pomyślał kapitan.

Wolno szedł w górę. Cały czas w chmurach. Było to niebezpieczne. Zbliżanie się do dużego lotniska bez łączności z wieżą groziło zderzeniem w powietrzu, ale nie miał wyboru. Lot północno-

zachodnim kursem nie budził w terroryście podejrzeń. A może po prostu nie znalazł się na przyrządach pokładowych. Na wysokości 3500 metrów wyszli z chmur. Drugi pilot włączył się na wieżę „Berlin” i prowadził rozmowę. Podawał, że polski samolot SP-LFT, lecący na wys. 3500 m, zbliża się do lotniska. Z drugiej strony rozłoszczony Niemiec dopytywał się „skąd lecicie, dlaczego weszliście bez zezwolenia w strefę Berlina”. A Polak swoje:

- Tu SP-LTF - lecimy na wysokości około 3500, zbliżamy się do lotniska.

Nie wymieniał naturalnie określenia Berlin, by bandzior nie zorientował się. Zorientował się natomiast niemiecki kontroler ruchu. Po chwilowej bowiem przerwie podał położenie samolotu i polecenie przebijania chmur.

Klawo jest - pomyślał Chudzik - teraz nic nam nie grozi. Berliński radar określił położenie polskiego samolotu i sprowadza nas na ziemię.

- Daleko jeszcze do Wiednia? - zapytał terrorysta.

- Za dziesięć minut będzie pan spacerował po Praterze.

Prowadzeni przez wieżę kontroli ruchu „Berlin” mieli pod sobą rozległe miasto pocięte wstęgą rzeki. Dla załogi był to Berlin i Sprewa, dla terrorysty Wiedeń i Dunaj.

Kapitan wykonał krąg i znad miasta podszedł do lądowania na pas startowy szonefeklzkiego lotniska.

Gdy wkołowywali na płytę przeddworcową, zauważyli kordon enerdowskiej policji. Bandzior też ją zobaczył.

- Ach ty sk... - wrzasnął. Złożył się z pistoletu i strzelił w stronę kapitana. Spóźnił się o ułamek sekundy, do akcji bowiem wkroczył mechanik. W ostatniej chwili podbił rękę terrorysty. Kula przebiła szybę kabiny załogi. Bandzior strzelił po raz drugi. Ale tym razem na jego głowie wylądowała pięść mechanika. A że chłop był jak tur, znokautował porywacza, który nieprzytomny runął na podłogę.

Drugi z porywaczy, stojący w końcu kabiny i terroryzujący pasażerów; zorientowawszy się, że wylądowali w Berlinie, rzucił pomiędzy fotele petardę, podbiegł do drzwi i wyskoczył na zewnątrz. W kabinie rozległ się huk, błysk i ukazały się kłęby czarnego dymu. Pasażerów ogarnęła panika. Hurmem rzucili się do drzwi wejściowych. Pchając i tłocząc się jeden przez drugiego opuszczali samolot. Na szczęście podwozie Ana jest bardzo niskie i nikomu nic się nie stało. Wykorzystując zamieszanie porywacz usiłował zbiec. Daleko jednak nie uciekł i został złapany przez enerdowskich policjantów.

Przedstawicielem Lotu w Berlinie był popularny Kuba, pilot, który kilka lat temu „poszedł na ziemię”. Kuba ani na moment nie stracił zimnej krwi. Wiedząc, że do Berlina leci w tajemniczych okolicznościach polski samolot SP-LTF, z miejsca domyślił się, że jest to próba porwania. Zawiadomił lotniskową policję i, spowodował, że spory jej oddział oczekiwał na lądujący polski

An. Gdy zobaczył dym wydobywający się z kabiny i wyskakujących pasażerów, podbiegł do drzwi uspokajając ich.

- Proszę państwa, proszę się nie tłoczyć i wychodzić kolejno. Nic się nie stało - wołał.

Wyskakujących pasażerów kierował pod opiekę hostess.

Polski samolot otoczył tłum pracowników Interflugu.

- Kuba - zdecydował kapitan - zabierz pod swoją opiekę ludzi, a ja na razie zostanę przy samolocie.

- Proszę państwa za mną - zwrócił się Kuba do grupki pasażerów. - Prosimy do poczekalni, a potem do restauracji.

Półprzytomnego porywacza z kabiny pasażerskiej zabrało dwóch policjantów, a do Chudzika zgłosił się kierownik startu.

- Sprechen Sie deutsch? - zapytał.

- Etwas - odpowiedział Chudzik.

Niemiec wytłumaczył, że na razie samolot nie może odlecieć. Trzeba wymienić szybę i sprawdzić, czy wskutek strzelaniny nie nastąpiło uszkodzenie jakichś przyrządów.

Podjechał wózek i bagażowi zaczęli opróżniać ładownię. Gdy była już pusta, ciągnik odholował samolot przed warsztatowy hangar. Przy maszynie został mechanik, a obaj piloci poszli do Kuby, który z przejściem pełnił funkcję opiekuna pasażerów przypadkowo przebywających w Berlinie.

- Proszę państwa teraz na obiad do restauracji dworcowej. Naturalnie na koszt przedsiębiorstwa. Porozumiałem się z centralą i za godzinę odlecą państwo do Warszawy polskim samolotem lecącym z Amsterdamu.

W tym momencie zjawił się mechanik pokładowy niosąc ze sobą dwie torby podręczne.

- Kto z państwa zostawił ten bagaż w kabinie? - zapytał Kuba.

Milczenie.

- Na pewno nikt? - dopytywał się. - Prawdopodobnie należą one do porywaczy. Niech pan odniesie do mego biura.

Pasażerowie zajmowali miejsca przy restauracyjnych stolikach.

Biuro przedstawiciela Lotu na lotnisku Szonefeld mieściło się w małym pokoiku, gdzie oprócz Kuby urzędowała pracownica, panna Basia.

- Dzień dobry, panno Basiu - przywitał ją Chudzik.

- Dzień dobry. A to przygoda pana spotkała. Pewnie jest pan zmęczony. Przyniosę filiżankę kawy.

Basia zniknęła, a Chudzik przyglądał się przez okno płycie dworcowej. Obok biurka stały dwie zniszczone torby podróżne, przyniesione przez mechanika pokładowego.

Przez megafon docierały zapowiedzi startów i lądowania samolotów. Koło godziny siedemnastej spiker zapowiedział lądowanie polskiego samolotu lecącego z Amsterdamu do Warszawy.

Po dziesięciu minutach na płycie ustawiał się polski czterosilnikowy Il-18. Kuba był już na posterunku. Chudzik widział, jak rozmawia z kapitanem Romanem Skrzypińskim, coś mu tłumacząc. Domyślił się, że informuje o jego przygodzie. Istotnie, po chwili Skrzypiński zjawił się w biurze i Chudzik musiał opowiadać o wszystkim, co się stało na pokładzie samolotu. Potem widział, jak jego pasażerowie nikną w kabinie Ila-18. Jeszcze kilka minut i polski turbośmigłowiec poszedł na start.

Wkrótce w biurze zjawił się Kuba.

- Pasażerów mamy z głowy. Za godzinę przylecą tu dwaj oficerowie służby bezpieczeństwa i zajmą się porywaczami. Mamy więc nieco czasu. Chodźmy na obiad.

Dwaj oficerowie służby bezpieczeństwa przylecieli polskim samolotem lecącym z Warszawy przez Berlin do Paryża; przywitawszy się z Kubą i Chudzikiem udali się na rozmowę z oczekującymi na nich oficerami enerdowskimi.

Konferencja trwała długo. Dopiero po godzinie dwudziestej Sobótka zaprosił na rozmowę Kubę i Chudzika. Oznajmił im, że władze NRD przekazały Polsce obu porywaczy. Przedtem jednak należy spisać krótkie oświadczenie kapitana Chudzika.

Po godzinie wszystkie formalności były już załatwione. Niemieccy mechanicy zapewniali, że na rano samolot będzie gotowy. Nic więc już nie stało na przeszkodzie, by obu przestępców odstawić do Polski

Z lotniska pojechali samochodem Lotu do miasta. Chudzik przyglądał się mijanym ulicom. Berlin pamiętał z okresu pierwszych powojennych lat. Miasto było wówczas zniszczone. Dziś po ruinach nie zostało śladu. Centrum, zabudowane nowoczesnymi gmachami, wyglądało imponująco. Hotel „Berolina”, gdzie Kuba zarezerwował pokoje, stał przy alei Marksa.

Chudzik natychmiast po kolacji udał się do swego pokoju. Był zmęczony niecodziennymi przygodami. Zanim się ułożył do snu, nastawił radio na Warszawę. W ostatnich wiadomościach podawano komunikat o próbie porwania polskiego samolotu komunikacyjnego. Dzięki zdecydowanej postawie załogi próba nie powiodła się. Obu porywaczy władze NRD wydały Polsce. Od Sobótki Chudzik wiedział, że jeden z porywaczy, Andrzej Piworski, ma dwadzieścia dziewięć lat i jest z zawodu inżynierem mechanikiem, drugi natomiast, dwudziestokilkuletni wałkoń, to Janusz Kędziorek.

Jakie były motywy porwania samolotu? I co łączyło obu porywaczy? - zastanawiał się Chudzik.

Nazajutrz rano, zgodnie z obietnicą, samolot był gotów do startu.

- Alles in Ordnung - meldował Chudzikowi niemiecki mechanik.

Obu porywaczy, zakutych w kajdany, przywieziono na lotnisko więzienną karetką. Po załatwieniu formalności przekazano ich polskim oficerom i załadowano do samolotu.

Kuba dał kapitanowi Sobótce listę pasażerów z porwanego Ana.

- ...A niezależnie od tego zrobiłem drugą listę, ustalając, gdzie kto siedział. Proszę, oto plan samolotu. Z prawej strony, na drugim fotelu, siedział Kędziorek, za nim pani Balcerek z mężem, z lewej strony na drugim fotelu Piworski, za nim, na trzecim lub czwartym fotelu, niejaki Konikowski. Tu właśnie, pomiędzy tymi fotelami, znaleziono bagaż podręczny porywaczy.

- Jaki bagaż? Nic o nim nie wiem - przerwał Sobótka.

- Ach, zupełnie o tym zapomniałem. Niemieccy mechanicy znaleźli na podłodze dwie torby podróżne. Pytałem się pasażerów, czyje one są. Nikt się nie przyznał; na pewno są to torby porywaczy.

- Gdzie one są?

- U mnie w biurze. Zaraz je przyniosę.

Po kilku minutach Kuba dostarczył dwie podniszczone torby podróżne.

- To wasze? - zapytał Sobótka porywaczy.

- Ta torba jest moja - odpowiedział Piworski, wskazując ruchem głowy na jedną z nich.

Po wczorajszym nokaucie mechanika miał podbite oko. Na jego twarzy widać było apatię i przygnębienie.

- A ta twoja? - zwrócił się Sobótka do Kędziorka wskazując drugą torbę, przypominającą neseser.

- Nie. - zaprzeczył Kędziorek.

Ani jeden, ani drugi nie przyznali się do niej.

- No to zobaczymy, co jest w środku.

Otworzył torbę Piworskiego. W środku znajdowało się trochę drobiazgów podróżnych. Niewątpliwie tu była przechowywana petarda. Teraz otworzył błyskawiczny zamek neseserka. Wewnątrz leżało kilka przedmiotów zawiniętych w kawałki lnianego płótna. Sobótka rozwinął je. W

jednym znajdował się złoty ozdobny łańcuch, w drugim złoty, wysadzany kamieniami, spory krzyż, a dalej kilkanaście złotych figurek.

- No i co wy na to? - zwrócił się do porywaczy.

- Pierwszy raz to widzimy.

- Tak... To się jeszcze okaże. Kapitanie, możemy lecieć. Połów nam się udał. Ależ Miłosz się ucieszy! Czy będę mógł z pokładu waszego samolotu nadać depezę do Warszawy?

- Naturalnie.

Kilka tygodni przed porwaniem samolotu miało miejsce włamanie do jednego z dolnośląskich muzeów. Sprawcy dostali się przez sąsiedni gmach na dach muzeum, a następnie przez strych do jednej z sal, skąd zrabowano wiele cennych eksponatów sztuki zdobniczej. Pomimo energicznie prowadzonego śledztwa, sprawców nie udało się ująć. Nie udało się również odkryć skradzionych skarbów. Akcją tą pod kryptonimem „Muzeum” kierował kapitan Eugeniusz Miłosz z Komendy Głównej MO. Spisy skradzionych przedmiotów wraz z ich opisami dostarczono wszystkim komendom MO, posterunkom granicznym WOP i urzędowi celny. Zastosowano kontrolę osób wyjeżdżających z Polski. Bardzo szczegółowo przeglądano samochody na granicznych przejściach.

Skradzionych przedmiotów było ponad dwadzieścia sztuk różnej wielkości. Wywiezienie ich z Polski, nawet pojedynczo, było raczej niemożliwe. Zainteresowano się sklepami „Desy”, „Jubilera”, punktami skupu złomu srebrnego, komisami. Nigdzie nie natrafiono na ich ślad. Wszystko wskazywało, że sprawcy dobrze ukryli skarby i czekali na możliwość wywiezienia ich za granicę. W Polsce nic mogły one bowiem być sprzedane, a najwyżej przetopione. Wybór jednak przedmiotów wskazywał, że sprawcy orientowali się w ich wartości. Dla Miłosza nie ulegało wątpliwości, że działał tu dobrze zorganizowany gang. Gang, który poza tym musiał się zajmować również i innego rodzaju przestępstwami, może handlem narkotyków.

Wieża kontroli ruchu „Berlin” dała zezwolenie na start i po krótkim rozbiegu polski samolot oderwał się od drogi startowej szonefeldzkiego portu lotniczego. Zgodnie z komunikatem meteorologicznym przez pierwsze sto kilometrów lecieli pod bezchmurnym niebem. Potem zaczęły się ukazywać coraz liczniejsze chmury, aż wreszcie pokryły one całkowicie ziemię i niebo.

- To już tak będzie do samej Warszawy? - zapytał Sobótka obserwując przez okienko płaszczyznę ziemi.

- Tak - odpowiedział radiooperator - całą Polskę pokrywa silny niż. Przez trzy-cztery dni będzie lało.

W Warszawie Chudzik lądował na ślepo. W ostatniej chwili ukazała się szeroka droga startowa wytyczona lampami. Mżył drobny deszczyk zalewając szyby i ograniczając widoczność.

Na płycie lotniska oczekiwała spora grupa milicjantów i oficerów służby bezpieczeństwa. Wśród tych ostatnich znajdował się kapitan Eugeniusz Miłosz.

Miłosz, otrzymawszy wiadomość od komendanta placówki WOP, że z Berlina leci kapitan Sobótka, który ma informacje w sprawie akcji „Muzeum”, nie zważając na ulewny deszcz wsiadł do samochodu i pojechał na Okęcie. Do lądowania samolotu było jeszcze pół godziny. Kapitan dowiedział się od komendanta placówki, że usiłowano porwać samolot oraz że w tej właśnie sprawie kapitan Sobótka poleciał wczoraj do Berlina, a teraz wraca do Warszawy z obu ujętymi porywaczami. Jaki ma to związek z akcją „Muzeum”, nie umiał objaśnić. Szczegółów dowiedział się Miłosz dopiero po wylądowaniu samolotu.

- To są torby podróżne znalezione na pokładzie samolotu. A w jednej z nich poznajecie, kapitanie, swą własność? - zażartował Sobótka.

Miłosz przejrzał zawartość torby. Znał na pamięć spis skradzionych przedmiotów. Godzinami studiował opisy, miał wiele zdjęć skradzionych przedmiotów.

- Łańcuch i figurki istotnie pochodzą z muzeum, ale krzyż nie.

- Na pewno?

- Z całą pewnością. Gdzie są sprawcy porwania samolotu?

- Odesłałem ich do komendy MO, gdzie zostaną szczegółowo przesłuchani. Powinno to wam wiele wyjaśnić.

Powinno! Miłosz też był tego zdania. Albo porywacze byli jednocześnie sprawcami kradzieży i usiłowali w ten sposób za granicę wywieźć część skarbów, albo działali na zlecenie gangu i w tym przypadku musiał być na pokładzie członek gangu. Albo też był to przypadek, co by wskazywało, że wśród pasażerów był ktoś przewożący te przedmioty, W czasie paniki mógł zapomnieć o neseserku, a potem bał się przyznać. To były wszystko hipotezy. Ale gdzie jest reszta skarbu? Skąd się wziął złoty krzyż? Też pewnie został gdzieś skradziony.

- Dobrze, kapitanie, jedziemy do komendy. Na gorąco należy wyjaśnić szereg spraw.

W czasie przesłuchania obaj porywacze zarzekli się udziału w kradzieży. Z nikim się nie kontaktowali. Działali na własną rękę. Chcieli uciec z Polski, bo tu im się nie podoba. Szukali wielkiej przygody. Nie przyznawali się do drugiej torby.

- Mieliśmy jedną torbę, wyjąłem z niej pistolet i torbę postawiłem na podłodze koło fotela - tłumaczył się Piworski. - Czy stała tam druga torba, nie wiem, kto siedział za mną, też nie wiem. Miałem inne sprawy na głowie.

Za Piworskim - według planu zrobionego przez skrupulatnego Kubę - siedział niejaki Konikowski. On też mógł być właścicielem neseserka zawierającego skradzione skarby. Czy celowo leciał samolotem SP-LTF wiedząc, że ma lądować w Wiedniu, czy też leciał do Warszawy przewożąc część skarbów? Możliwe, że w czasie paniki zapomniał o torbie, a potem bał się do niej przyznać. Należało to możliwie szybko wyjaśnić.

Miłosz wezwał swego pomocnika, porucznika Romaniaka, informując o wypadkach, które

wczoraj rozegrały się na pokładzie samolotu SP-LTF.

- Poruczniku, musicie dowiedzieć się, co się da o Konikowskim. I to natychmiast.

Romaniakowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać. W biurze Lotu dowiedział się, jaki numer miał dowód osobisty pasażera Konikowskiego, a w pół godziny później znalazł się na Starym Mieście, gdzie mieszkał Konikowski. Nacisnął dzwonek, nikt jednak nie otworzył drzwi. Właściwie to nie było w tym nic dziwnego, Konikowski mógł być w pracy. Od gospodarza domu dowiedział się, że lokatora tego nie ma już od dłuższego czasu. Romaniak z kolei udał się do prowadzącego meldunki... Tam dowiedział się, że Konikowski jest zatrudniony w Pracowni Konserwacji Zabytków. W dziale kadr poinformowano go, że Konikowski, z zawodu konserwator malowideł ściennych, już od trzech lat nie pracuje u nich. Koledzy z pracowni uzupełnili tę informację, że Konikowski nigdzie na stałe nie pracuje i robi po kościołach „fuchy”. Miał opinię dobrego fachowca, ale lubił zaglądać do kieliszka.

To było warte zastanowienia, Konserwator, praca w kościołach, złoty krzyż.

Romaniak wrócił na Stare Miasto. Trafił na dobry moment. Właśnie zjawił się listonosz. Porucznik wylegitymował się i poprosił o otwarcie skrzynki na listy należącej do Konikowskiego. Znajdowało się tu sporo nie odebranej korespondencji. Były to przeważnie kartki pocztowe i kilka pism urzędowych. Uwagę porucznika zwrócił szczególnie jeden list. Został on nadany kilka dni temu przez proboszcza w miejscowości Sieklice Duże. Romaniak zabrał go ze sobą. Opinię o wesołym trybie życia Konikowskiego potwierdził również gospodarz domu: „Kiedyś to nawet i pogotowie milicyjne tu się zjawiało...”

Miłosz w tym czasie dalej przesłuchiwał porywaczy. Obaj w dalszym ciągu zarzekali się jakiegokolwiek związku z kradzieżą w muzeum i próbą wywiezienia skarbów. Usiłowali porwać samolot, gdyż mieli osobiste kłopoty. Skąd jednak ta znajomość debilowatego Kędziorka z inteligentnym inżynierem, wykładowcą w technikum mechanicznym? Poznali się przypadkowo przy wódce. I jakoś się dogadali. A skąd mieli pistolet? Kędziorek twierdzi, że miał go od dłuższego czasu. Już nawet nie pamięta skąd. A petarda? Zrobił ją Piworski. Przy sobie mieli razem kilka tysięcy złotych. Czy z tym można zaczynać nowe życie za granicą? Piworski twierdził, że miał adres pewnego gościa w Wiedniu. Dał mu go ktoś ze znajomych, który był na wycieczce w Austrii. Ten facet nazywa się Rosenwerth i prowadzi w Wiedniu sklep przy Weissestrasse.

Nazwisko Rosenwertha było dobrze znane milicji. Rosenwerth przed wojną prowadził spory zakład przemysłowy pracujący na zamówienie wojska. Przy przejmowaniu zakładu przez państwo wyszły na jaw liczne machlojki. Ponieważ było w to zamieszanych kilku wojskowych, sprawę zatuszowano, ale Rosenwerth został zmuszony do wyjazdu za granicę. Przeniósł się do Wiednia. Po zajęciu Austrii przez Hitlera uciekł i wrócił tam po wojnie. Wraz z dorastającym synem założył sklep. Świetnie znali go polscy turyści udający się do Wiednia lub przejeżdżający tranzytem. Rosenwerth kupował od rodaków wszystko, co przywieźli - kryształ, wódkę, suszone grzyby, szynki konserwowe, puszki faszerowanych karpia po żydowsku. Dostarczał w zamian sweterki, koszule i wszelkiego rodzaju ciuchy. Dość często przyjeżdżał do Polski. Raz nakryto go przy wywozie dewiz. Skończyło się na grzywnie. Czy Rosenwerth mógł się zajmować handlem antykami? Niewykluczone.

Miłosz poprosił do komendy MO rzeczoznawcę, docenta Uniwersytetu Warszawskiego, aby wypowiedział się w sprawie złotego krzyża znalezionej w torbie.

- To jest bardzo ciekawy, no i wartościowy przedmiot sztuki romańskiej. Pochodzi z XII, a może nawet XI wieku. Szkoła prawdopodobnie francuska lub hiszpańska. Najwyższej klasy robota grawerska. I kamienie! Imponująca ilość. Przyznam się, że widziałem wiele zabytków tej klasy, ale one nie umywały się do tego krzyża.

- Jaką on ma wartość?

- Trudno powiedzieć. Waży ponad kilogram, jest ze szczerego złota. Kamienie. A poza tym zabytkowy. W każdym bądź razie ponad milion złotych.

- Czy krzyż ten znajdował się w jakimś muzeum?

- Na pewno nie. Pochodzi prawdopodobnie ze zbiorów prywatnych. Ale kto w Polsce mógłby mieć w swych zbiorach tego rodzaju krzyż, nie mam pojęcia.

Potem zjawił się Romaniak. Zrelacjonował, co załatwił.

Miłosz jakiś czas obracał w dłoni list przyniesiony przez Romaniaka i wreszcie zdecydował się otworzyć go.

Proboszcz z Sieklic Dużych w uprzejmych słowach dopominał się od Konikowskiego rozliczenia się z pobranych na zakup farb dziesięciu tysięcy złotych, „bo parafianie pytają, co się stało. Ani farb, ani pana, ani pieniędzy”.

- To ciekawe. Gdzie się znajdują Sieklice Duże?

Odszukali je na mapie. Na północny zachód od Siedlec. Z głównej szosy skręcało się na północ. Czerwona linia oznaczająca bitą drogę kończy się w Sieklicach Dużych.

- To jakiś świat zabity deskami - zauważył Romaniak.

- Chyba tak. Ale trzeba tam jutro rano pojechać, czegoś się dowiemy. Przynajmniej o Konikowskim.

Milicyjny fiat zjechał na pobocze szosy. Deszcz padał bez przerwy zalewając szyby.

- Pogoda jak w listopadzie - zauważył kierowca.

Z Sochaczewa w kierunku Warszawy jechał ciężarowy star, tuż za nim pędził ze znaczną szybkością biały polski fiat. Z przeciwnej strony z Warszawy nadjeżdżał autokar. Wbrew logice kierowca fiata zaczął wyprzedzać stara.

- Idiota - zaklął jeden z milicjantów - to się może...

Nie dokończył zdania. Kierowca fiata wpadł w poślizg. Autokar zjechał na pobocze. Fiat odbił się od niego i wpadł na drzewo po drugiej stronie szosy. Star nie zdążył ani zahamować, ani ominąć i z całej siły uderzył w tył, miażdżąc go. Kierowca milicyjnego samochodu zapuścił silnik. Drugi milicjant włączył radiotelefon.

- Tu Ewa 07, tu Ewa 07, katastrofa samochodowa na szosie E-12.

Podjechali na miejsce kraksy. Kierowca stara stał oparty o samochód. Był blady, ręce mu się trzęsły.

- To nie moja wina, nie moja, nie zdążyłem zahamować.

- Tak, niech się pan uspokoi - perswadował jeden z milicjantów - I proszę się cofnąć kilka metrów.

- Tu Ewa 07, tu Ewa 07 - powtarzał drugi milicjant przez radiotelefon - przyślijcie pogotowie.

Lekarz już nie był w stanie tu pomóc. Kierowca i pasażer, zmasakrowani w zmiżdżonym fiacie, nie żyli. Pasażerowie z autokaru otoczyli rozbity samochód, jego kierowca udzielał pierwszych wyjaśnień.

- Fiat wyskoczył niespodziewanie zza stara. Widoczność jest słaba. Zjechałem, Ile się dało w prawo, ale to nie starczyło.

Autokar miał uszkodzoną maskę, rozbity reflektor i zarysowaną lewą stronę karoserii.

- Proszę się rozejść. Proszę się nie tłoczyć - apelowali milicjanci do pasażerów autokaru.

Po kilku minutach przyjechało na sygnale Pogotowie Ratunkowe i drugi milicyjny fiat. Star cofnął się i odciągnięto nieco wrak fiata. Nosił on numer 2910 otwockiej rejestracji. Lekarz stwierdził śmierć obu pasażerów. Przy kierowcy znaleziono dowód osobisty na nazwisko Romualda Puwalskiego, zamieszkałego pod Otwockiem. Jego towarzysz nie miał żadnych dokumentów. Po spisaniu protokołu autokar odjechał i wkrótce po nim star. Milicji pozostało teraz zawiadomić rodzinę ofiary i zabezpieczyć rozbity wóz wraz z zawartością. Na tylnych siedzeniach nie było żadnego bagażu.

Jeden z milicjantów zaczął się mocować z pokrywą kufra. Została ona zgnieciona i nic można było jej unieść. Po dłuższych wysiłkach, pomagając łyżkami do wymiany dętek, udało się dostać do wnętrza kufra. Oprócz narzędzi i koła zapasowego leżały tam trzy skórzane walizki. Wskutek zderzenia zostały one zgniecione i popękały. Milicjanci wyciągnęli je z pogniecionej kufra ustawiając na jezdni. Oficer MO asystujący tej czynności w pewnym momencie pochylił się, interesując się ich zawartością. Pomiędzy kawałkami lnianego płótna zauważył złote przedmioty. Zaczął je wyciągać z walizki.

- Czyżby to były skarby z akcji „Muzeum”? - zapytał jeden z milicjantów zdumiony zawartością walizek.

- Nie mam co do tego żadnej wątpliwości - potwierdził oficer.

O kradzieży w muzeum została powiadomiona cała milicja drogowa. Miała ona obowiązek wyrywkowo kontrolować samochody. Dotychczas nie dało to rezultatu.

- Będziemy musieli ustalić, skąd jechał fiat TO-2910 - zauważył oficer - ale kapitan Miłosz się ucieszy.

Pewnie, że się ucieszył. W ciągu dwudziestu czterech godzin w ręce milicji wpadły wszystkie łupy z krzyżem romańskim na dodatek. Teraz pozostało tylko odnaleźć sprawców. Dwóch z nich to zabici pasażerowie fiata. A reszta?

Miłosz o katastrofie pod Sochaczewem dowiedział się jeszcze tego wieczoru. Postanowił kuć żelazo, póki gorące. Poleciał nie ogłaszać komunikatu o wypadku i zdecydował się rano jechać do Otwocka.

Do Sieklic Dużych wyruszył więc sam Romaniak. Pojechał międzynarodową szosą na Siedlce, potem skręcił w lewo na wąską szosę drugiej klasy. Najpierw była spora wieś gminna Zadrowo, a kilka kilometrów dalej Sieklice Duże. Tu się szosa kończyła.

Przy sporym wiejskim placu stał okazały kościół barokowy, nieproporcjonalnie duży w stosunku do małej wsi. Porucznik zajrzał do wnętrza. Bogaty wystrój, liczne obrazy i rzeźby świadczyły, że kiedyś Sieklice przeżywały okres prosperity.

Czyżby istotnie tu się kiedyś znajdował złoty krzyż romański?

Romaniak postanowił udać się do miejscowego proboszcza.

Starszy wiejski proboszcz przyjął Romaniaka nieco zakłopotany, a Romaniak nie wiedział, od czego zacząć, wreszcie zdecydował się:

- Czy ksiądz zna niejakiego Konikowskiego?

- Znam, znam - potwierdził z ulgą - malarz konserwator malowideł ściennych, a przy okazji i zabytków ruchomych.

- Tak, właśnie tego. Czy wykonywał on jakieś roboty dla tej parafii?

- Tak. Przez kilka lat pracował po parę tygodni nad odnowieniem fresków. Część pieniędzy dawało Ministerstwo Kultury i Sztuki, resztę ja dopłacałem

- Czy ksiądz był zadowolony z pracy Konikowskiego?

- Fachowcem jest dobrym. Poleciał go zresztą konserwator zabytków. Ale lubi zaglądać do kieliszka i dziewczynom na wsi nie daje spokoju.

- Czy obecnie pracuje u księdza?.

- I tak, i nie. Zaczął robotę i nie skończył, bo zabrakło farb. Pojechał i dotychczas nie wrócił. Ale wróci na pewno i zakończy pracę.

Romaniak postanowił przystąpić do sedna sprawy.

- Czy ksiądz miał wśród swych przedmiotów kościelnych złoty, wysadzany kamieniami krzyż?

Proboszcz wyraźnie zmieszał się.

- Nie, takiego krzyża w kościele nie było. Ale... jak by to powiedzieć. Skoro pana porucznika to interesuje, to opowiem. Choć mogą to być legendy, ludowe bajania.

- Zamieniam się w słuch.

- Sieklice Duże od wieków należały do rodziny Sieklickich. Była to stara szlachecka rodzina, której praszczur został nobilitowany ponoć po bitwie grunwaldzkiej. Otóż, jak mówią bajczarze, praszczur ten pokonał pod Grunwaldem znacznego rycerza z zachodu i zdobył na nim między innymi złoty, inkrustowany krzyż, który przodkowie tego rycerza przywieźli z wyprawy krzyżowej. Krzyż ten jako symbol rodu Sieklickich przechodził z ojca na syna. Aż nagle, w końcu XVIII wieku, najstarszy z Sieklickich zakochał się w pannie Firlejównie z Lubelskiego. Firlejowie to jak wiadomo rodzina kalwińska. Rodzice nie chcieli słyszeć o małżeństwie z heretyczką. Ale miłość okazała się silniejsza od zakazów. Gustaw Sieklicki, takie on bowiem nosił imię, rzucił Kościół katolicki i przeszedł na kalwinizm zrywając z rodziną.

- A romański krzyż?

- Właśnie! Jako senior rodu podobno zatrzymał go sobie. Rodzina nie zgadzała się na to. Zaczęły się waśnie, kłótnie, ponoć nawet strzelano do siebie, w każdym bądź razie ród rozbił się na dwie gałęzie - katolików i kalwinów.

- A Sieklice Duże do kogo należały?

- Do Sieklickich-katolików. Natomiast Gustaw Sieklicki ze swą ukochaną przeniósł się do Sieklic Leśnych. Kiedyś podobno znajdował się tam pałacyk myśliwski położony w puszczy. Gustaw przebudował pałacyk na dworek, wznosił zabudowania folwarczne, a w ogrodzie postawił niewielką kapliczkę, gdzie od czasu do czasu odbywały się kalwińskie nabożeństwa.

- A kto mieszka teraz w Sieklicach Leśnych?

- Niejaki pan Horoszko. Wskutek stałych podziałów niewiele z majątku zostało, około dwudziestu hektarów. Sieklice Duże to zupełnie coś innego. Ostatni jego właściciel, pan August Sieklicki, dbał o majątek i prowadził go wzorowo. Po reformie rolnej wyjechał z rodziną do Warszawy. Obecnie jest tam PGR. Duże wzorowe gospodarstwo rolno-hodowlane. Ale my tu gadu, gadu, a pan porucznik pewnie głodny. Może zjemy śniadanko?

- Bardzo dziękuję. Nie mam czasu. Muszę załatwić jeszcze kilka spraw.

Romaniak pożegnał się i opuścił plebanię. To, co mówił stary proboszcz, mogło być prawdą, ale i zwykłym bajaniem. Wiadomo, że ludzie lubią tworzyć legendy. Faktem jednak było, że opis krzyża zgadzał się z wyglądem krzyża znajdującego się w posiadaniu MO. Legendę należało sprawdzić. Porucznik postanowił zwrócić się do Horoszki.

A może dyrektor PGR też będzie coś wiedział? - zastanawiał się porucznik.

Do PGR prowadziła szeroka, wysadzana lipami aleja. Kończyła się ona zabytkową bramą, dalej był podjazd, a za nim spory dwór, a nawet pałacyk w stylu klasycystycznym z kolumnadą uwieńczoną tympanonem. Już na pierwszy rzut oka widać było gospodarskie oko dyrektora.

Podjazd, ozdobiony klombami, był w idealnym stanie, podobnie jak park ciągnący się z lewej strony pałacyku. Wewnątrz budynku mieściła się dyrekcja. Porucznik zatrzymał się przed drzwiami z napisem „dyrektor gospodarstwa, inż. Z. Borecki”.

- Dyrektora nie ma - poinformowała sekretarka - przebywa na terenie gospodarstwa. Towarzysz może z komitetu?

- Nie. Jestem por. Romaniak z Komendy Głównej MO.

- Poszukam dyrektora - zaofiarowała się dziewczyna.

Okna wychodziły na podwórze i budynki gospodarskie. Pośrodku stał traktor. Dyrektor, wysoki postawny mężczyzna o energicznym wyglądzie zjawił się po dwudziestu minutach.

- Borecki jestem - przedstawił się - czym mogę służyć?

- Chciałem otrzymać od pana kilka informacji. Pan od dawna jest zatrudniony na tym stanowisku?

- Sześć lat kieruję tym gospodarstwem. Jest ono duże, prawie trzystu hektarów. Mamy sporą chlewnię, stado krów i nawet małe gospodarstwo rybne. Osiągnęliśmy dużą wydajność z hektara. Przypuszczam jednak, że nie to pana interesuje.

- Zgadł pan. Czy w ciągu sześcioletniej pracy w Sieklicach Dużych słyszał pan, by gdzieś tu w okolicy znajdował się zabytkowy, złoty, inkrustowany kamieniami krzyż?

- Na temat tego krzyża krążyły różne pogłoski, mało zresztą prawdopodobne. Dopiero w tym roku na wiosnę pewien malarz, który odnawiał freski w kościele, powiedział mi, że widział ten krzyż.

- Jak się nazywa ów malarz?

- Konikowski. Czy można bezkrytycznie wierzyć jego relacji? Nie wiem. Opowiadał mi to przy wódce.

- Czy zna pan dobrze Konikowskiego?

- Dość dobrze. Pracował w kościele kilka lat. Nudziło mu się tu, nieraz więc zachodził do mnie na kolację lub też zapraszał na wódkę do gospody,

- A teraz już nie pracuje?

- Nie spotkałem go od miesiąca lub dwóch.

- A gdzie Konikowski widział ten krzyż?

- Kilka kilometrów od Sieklic Dużych znajdują się Sieklice Leśne. Kiedyś oba te majątki należały do rodziny Sieklickich. Dwieście lat temu podobno pokłócili się i ród rozbił się na dwie gałęzie. Sieklicy z Sieklic Leśnych podupadli i mająteczek był już przed wojną w ruinie.

- A kto jest obecnie ich właścicielem?

- Prawnie biorąc Sieklicy. Ale ich tu nie ma, od lat gospodaruje tam ich przedwojenny rządcą, pan Horoszko, on to miał pokazywać krzyż Konikowskiemu.

- A Horoszkę pan zna?

- Znam. Staruszek liczy chyba osiemdziesiąt lat. Usiłuje gospodarować metodami, które już sto lat temu były przestarzałe. Nie daje to naturalnie bogatych efektów. Ziemia jałowuje i tyle. Usiłuję mu czasem coś doradzić, ale staruszek jest uparty jak koń. Ma naturalnie trudności z ludźmi. Staram się mu pomagać, choć i sam nie cierpię na nadmiar rąk do pracy.

- Czy pańscy pracownicy w gospodarstwie to dawni pracownicy Sieklickiego?

- No, niezupełnie. Większość z nich zestarzała się i przeszła na emeryturę. Młodzi wyjechali do miast. A poza tym nowoczesne gospodarstwo potrzebuje wielu wysoko kwalifikowanych fachowców. To są przeważnie młodzi, po szkołach rolniczych. Ale do zwykłych prac polowych też mi brakuje ludzi,

- I jak pan sobie radzi?

- W okresie spiętrzonych prac polowych pomagają nam uczniowie ze szkół, robotnicy z fabryk. A kilkakrotnie, jak np. w tym roku, do pracy otrzymałem grupę więźniów. Nawet dość dobrze pracowali.

Porozmawiali jeszcze kilka minut i Romaniak postanowił pojechać do Sieklic Leśnych.

- Wróci pan na plac i za wsią skręci w lewo - objaśnił Borecki.

Po półgodzinnej jeździe piaszczystą drogą milicyjny fiat zatrzymał się przed niewielkim stylowym dworkiem. Dach pokrywał nowy, świeżo zakonserwowany gont, ściany bieleły się nowymi tynkami. Pan Horoszko, typowy szlachcic z sumiastym siwym wąsem, siedział na ganku, obojętnie przyglądając się wysiadającemu z samochodu oficerowi MO. Fiat zupełnie nie pasował do tego otoczenia, jakby żywcem wyjętego z „Pana Tadeusza”. Romaniak przedstawił się, a Horoszko

odpowiedział obojętnym tonem.

- Bardzo mi przyjemnie, proszę do środka.

Wnętrza dworku wyglądały prawdopodobnie tak samo jak dwieście lat temu, gdy pan Gustaw Sieklicki przywiózł tu swą lubą, pannę Firlejównę. Duże izby nie miały sufitów, tylko drewnianą powałę, wokół stały stare, zjedzone przez korniki meble, ściany zawieszono obrazami w ramach, które ongiś były pewnie złoczone.

- Czym mogę panu służyć? - zapytał Horoszko zasiadając w trzeszczącym fotelu.

- Od kiedy pan tu mieszka i pracuje?

- Od 1931 roku.

- A przedtem, gdzie pan przebywał?

- Byłem administratorem majątku Sieklice Duże.

- Jakim sposobem trafił pan do Sieklic Leśnych?

- Kiedyś te oba majątki były...

- Wiem o tym. Znam romantyczną historię z końca XVIII wieku. A co się tu działo bezpośrednio przed wybuchem wojny?

- Sieklice Duże były pięknym, dobrze prosperującym majątkiem, Sieklice Leśne natomiast upadającym folwarkiem. Tutejsi Siekliccy-kalwini, jak ich nazywano, nie interesowali się majątkiem. Bywało, że przez dziesiątki lat ziemia leżała odłogiem, a wskutek stałych podziałów mało jej zostało. Ostatni przedwojenny właściciel, Maurycy Sieklicki, do 1931 roku w ogóle nie interesował się mająteczkiem. Był to ciekawy człowiek, trochę pisarz, trochę historyk sztuki, podróżnik. W roku 1931 postanowił tu wrócić i tworzyć w wiejskim zaciszu. Zaproponował mi wówczas, abym wziął w dzierżawę Sieklice Leśne i spłacał mu mająteczek przez dwadzieścia lat. Zgodziłem się. Chciałem na starość coś mieć, aby przekazać rodzinie. Wówczas miałem rodzinę. Dziś nie mam nikogo. Pan rozumie - wojna. Osiedliłem się więc w Sieklicach. Pan Sieklicki wyremontował dworek, był on bowiem całkowicie zdewastowany, i wyposażył w meble, te, które pan tu widzi.

- Tak - zgodził się Romaniak - tak to pewnie wyglądało, gdy Sieklicki sprowadził Firlejównę.

- Prawdopodobnie. Z wyjątkiem lamp naftowych. Do wojny spłaciłem Sieklickim ziemię, co zostało spisane u rejenta, dworek, ogród i budynki gospodarcze natomiast stanowią ich własność.

- Czy Maurycy Sieklicki miał potomków?

- Tak, dwóch synów. Obaj służyli w wojsku. Starszy, Janusz, w kawalerii, a młodszy w lotnictwie.

Romaniak postanowił przystąpić do sedna sprawy.

- Skoro pan tak dobrze zna rodzinne stosunki Sieklickich, czy może mnie pan poinformować o złotym romańskim krzyżu, który podobno znajdował się w rodzinie Sieklickich-kalwinów?

Stary spojrzał podejrzliwie na Romaniaka.

- Skąd pan o tym wie?

- My w milicji dużo wiemy. Chciałbym wyjaśnić, czy to legenda, czy prawda.

- Tego rodzaju opowieści krążyły w okolicy. Mówiono, że jeden z Sieklickich zdobył ponoć w bitwie pod Grunwaldem duży złoty krzyż, wysadzany kamieniami. To była legenda, w którą nawet pan Maurycy Sieklicki nie wierzył, nieraz żartując, że skoro jest tak bogaty, to dlaczego brakuje mu pieniędzy. Niespodziewanie w dniu 22 sierpnia 1939 r. legenda stała się prawdą. Tego dnia zmarł na serce Maurycy Sieklicki. W jego ostatniej woli było wyrażone życzenie, by pochować go w podziemiach kaplicy znajdującej się w parku. Kaplica była wówczas zaniedbana, ale chciałem spełnić wolę zmarłego. Zawiadomiłem obu synów i poczyniłem przygotowania do pogrzebu. Nie wiedziałem, jak się otwiera sarkofag i manipulując przy nim odkryłem przypadkowo schowek, a w nim duży złoty krzyż wysadzany kamieniami. Na drugi dzień została ogłoszona mobilizacja i obaj synowie nie mogli przybyć na pogrzeb ojca. Młodszy zginął w 1939 r. Starszy przedostał się na Zachód i przez długie lata nie wiedziałem, co się z nim dzieje.

- Czy tajemnicy schowka nikomu pan nie zdradzał?

- W czasie okupacji, obawiając się, że w razie mojej śmierci nikt się nie dowie o skrytce, tajemnicę powierzyłem memu dobremu znajomemu, człowiekowi zupełnie pewnemu, Andrzejowi Grochowiakowi.

- Kto to jest?

- Pracował w majątku Sieklickich, był magazynierem. Odebrałem od niego przysięgę, że tajemnicę skrytki wolno mu zdradzić tylko synom Maurycego Sieklickiego.

- Co porabia ów Grochowiak?

- Po wojnie jakiś czas pracował w PGR, potem przeszedł na emeryturę i zmarł kilka lat temu.

- Czy nikomu poza tym nie zdradzał pan tajemnicy schowka?

- Nikomu - powiedział nieco szorstko Horoszko - najlepiej będzie, panie poruczniku, jak przejdziemy do kaplicy i pokażę panu schowek. Niech milicja zaopiekuje się skarbem.

- Chodźmy - zgodził się Romaniak. Wydawało mu się, że stary Horoszko czegoś nie powiedział, coś zataił.

Opuścili gabinet. W korytarzu Horoszko zdjął wiszący na gwoździu ozdobny klucz, po czym

wyszli na zewnątrz, kierując się w stronę zarośli, które kiedyś były parkiem. Gdy minęli zarośla, ukazał się niewielki zapuszczony stawek, a nad jego brzegiem kaplica w stylu klasycystycznym. Była idealnie utrzymana. Miedziowane obróbki błyszcząły w słońcu.

- Za czyje fundusze odbywał się remont kaplicy?
- Za państwowe. Dawał na to konserwator zabytków.

Zatrzymał się przed kutymi drzwiami. Horoszko otworzył zamek kluczem, który zabrał z dworku, i wszedł do wewnątrz. Pośrodku znajdował się prosty, dębowy ołtarz, po prawej ozdobny sarkofag, a po lewej mała zakrystia; leżały tam narzędzia ogrodnicze, kubły po farbach, kilof i łom.

- To właśnie jest sarkofag rodziny Sieklickich.

Boki sarkofagu ozdabiały dwa amorki trzymające w dłoni mosiężne wieńce.

- Doszedłem do wniosku, że wieńce te należy pociągnąć do siebie i wtedy ścianka posunie się w moją stronę i odsłoni otwór. Zacząłem się mocować z wieńcami. Nic z tego. Wziąłem więc ten oto łom, jeden koniec włożyłem w wieńiec i zacząłem obracać. O tak... - demonstrował Horoszko - amerek obrócił się i ukazała się wnęka. A w niej wśród resztek materiału leżał...

- Złoty krzyż - przerwał Romaniak.
- Zgadł pan. Złoty, wysadzany kamieniami krzyż, o którym od dwustu lat krążyły legendy.
- A gdzie on obecnie się znajduje?
- A tu, w tym schowku.
- Wobec tego otworzymy go - zaproponował Romaniak.

Przekręcili za pomocą łomu amorka, który odsłonił wnękę. Była pusta. Horoszko zamienił się w słup soli.

- A to łajdak! Złodziej! Bandyta!
 - Kto? - dopytywał się Romaniak.
 - Wracajmy, panie poruczniku, do dworku. Opowiem panu całą prawdę. Już mi szumi w głowie.
- Zamknęli skrytkę i powrócili do gabinetu Horoszki.

- Osiem lat temu przyjechał tu pan

Janusz Sieklicki. Mieszkał w Wiedniu i zapomniał o ojcowiznie. Opowiedziałem mu wówczas o schowku i znalezionym w nim krzyżu.

- Czy Grochowiak żył wtedy?

- Nie. Zmarł chyba dwa lata przed przyjazdem Sieklickiego.

- Poszliśmy jak dziś z panem do kaplicy. Otworzyłem przypadkowo odkryty schowek. Sieklicki obejrzał krzyż i stwierdził, że nie przypuszczał, iż jest taki bogaty. Zainteresował się wówczas stanem gospodarki, obejrzał dworek i zabudowania gospodarcze. Przy odjeździe powiedział, że zastanowi się, czy nie wrócić do Sieklic. Zostawił nieco pieniędzy na remont dworku. Po dwóch latach znów mnie odwiedził i znów oglądał krzyż. Na pożegnanie powiedział, że chętnie by krzyż zabrał ze sobą do Wiednia, ale to nie takie proste. Potem znów przysłał trochę pieniędzy z przeznaczeniem na remont wewnątrz kaplicy. I zamilkł.

- Remontował pan kaplicę?

- Tylko wewnątrz. Odnowiłem freski.

- Kto wykonywał te prace?

- Konikowski. Malarz konserwator malowideł ściennych. Tu się muszę przyznać do grzechu. Konikowski pracował w kościele w Sieklicach Dużych. Kiedyś zapytałem go, czy odnowiłby freski w kaplicy. Zgodził się. Powiedział, że będzie robił odcinkami i że policzy mi tylko za robociznę, a materiały to wykombinuje w kościele. Zgodziłem się. Parafia bogata, to i krzywdy nie będzie. No i Konikowski zabrał się do roboty. Grzebał się tu już dwa lata. A Sieklicki milczał. Mnie w zeszłym roku stuknęło osiemdziesiąt lat. Z sercem coraz gorzej. Wiedziałem, że w każdej chwili mogę zejść z tego świata. I wtedy zdradziłem Konikowskiemu tajemnicę skrytki. Powiedziałem, że jeżeli ja umrę, a Sieklicki nie wróci, to niech wyjmie krzyż i odda go do muzeum. Po co mu tu leżeć. Uważałem go za człowieka uczciwego. A może - zastanowił się Horoszko - Konikowski oddał bez mojej wiedzy krzyż do muzeum?

- Nie - zaprzeczył Romaniak - krzyż usiłowano wywieźć za granicę.

Obecnie znajduje się on w posiadaniu milicji.

- A kto usiłował go wywieźć? Konikowski?

- Możliwe, ale to nie jest pewne. Dziękuję panu za informacje. Gdyby panu się coś przypomniało, to proszę napisać do mnie lub kapitana Miłosza z Komendy Głównej MO.

- Dobrze. Na pewno to zrobię.

Zapoznawszy się ze szczegółami katastrofy pod Sochaczewem Miłosz nie miał wątpliwości, że wpadł na ślad gangu. Szefem mógł być Puwalski lub nie zidentyfikowany jego towarzysz. Zanim udał się do miejsca zamieszkania Puwalskiego, postanowił skontaktować się z komendą MO w Otwocku.

Minąwszy śródmieście i przejechawszy most Poniatowskiego Miłosz skręcił na Wał Miedzeszyński. Znajdowały się tu liczne ośrodki wypoczynkowe, prywatne wille, restauracje i kawiarnie. W jednej z willi, stojącej już poza granicami miasta, mieszkał Romuald Puwalski. W

komendzie MO Miłosza poinformowano, że prowadzi on w swojej willi noszącej ekscentryczną nazwę „Yellow House” restaurację i kawiarnię. Lokal ten pretenduje do miana ekskluzywnego klubu brydżowego, a w rzeczywistości gra się tam prawdopodobnie nie tylko w brydża. Nie podejrzewano, aby Puwalski handlował dewizami lub złotem.

Miłosz zdecydował się odwiedzić „Yellow House”. Spora willa, pomalowana zgodnie z nazwą na żółty kolor, stała w dużym ogrodzie. Szyld w kilku językach zapraszał na koktajle, śniadania, kolacje i obiady. Kapitan zatrzymał się przed bramą i wszedł do środka. Wnętrze było urządzone ekstrawagancko. W jednym z pomieszczeń urządzonych na jaskinię znajdował się bar. Za ladą urzędowała postawna brunetka w średnim wieku. Miłosz poprosił o małą kawę. Bufetowa z gracją i czarującym uśmiechem zaparzyła kawę i postawiła przed Miłoszem.

- Proszę uprzejmie!

- Dziękuję. Czy zastałem pana Puwalskiego?

Uśmiech brunetki stał się jeszcze bardziej słodki.

- Niestety, wyjechał do stryja.

- Aha! A kiedy wróci?

- Nie wiem - odpowiedziała szorstko bufetowa i przestała się interesować gościem

Miłosz wypił kawę, zapłacił i wyszedł.

Co się tej babie stało, że tak nagle zmieniła ton? - zastanawiał się idąc w stronę furtki.

Zatrzymał się. Przypomniały mu się czasy konspiracyjne. Niewątpliwie „wyjechał do stryja” było hasłem. Znając hasło i odzew powinien odpowiedzieć, np. „czy do stryja z Poznania” itd. A więc do Puwalskiego przychodzili klienci z czyjegoś polecenia, legitymujący się hasłami.

Postanowił na razie nie ujawniać śmierci Puwalskiego, a „Yellow House” wziąć pod dyskretną obserwację.

- Do komendy! - polecił kierowcy sadowiąc się w samochodzie.

W komendzie oczekiwał na niego Romaniak z rewelacyjnymi wiadomościami. Sprawa wyglądała pozornie prosto. Konikowski ukradł krzyż, przywłaszczył sobie dziesięć tysięcy złotych proboszcza i usiłował uciec za granicę. Skąd jednak wiedział o planowanym porwaniu samolotu? Niewątpliwie musiał być w kontakcie z gangiem. Wskazywała na to obecność w jego torbie skarbów skradzionych w muzeum. Po nieudanej próbie porwania samolotu Konikowski około godziny osiemnastej był już w Warszawie. Fiat pod Sochaczewem rozbił się dwadzieścia cztery godziny później, był więc czas na porozumienie się z Puwalskim, na przejazd do Wrocławia i powrót do Warszawy. Po co jechali do Warszawy z pozostałą częścią skradzionego skarbu? Prawdopodobnie chcieli go ukryć w willi Puwalskiego. Możliwe bowiem, że wspólnik Puwalskiego we Wrocławiu miał kontakt z Piworskim lub Kędziorkiem i bał się wsypy. Jeżeli to jest prawdziwa wersja, to nie

zidentyfikowanym zabitym pod Sochaczewem musi być Konikowski.

Już następnego dnia milicja drogowa wyjaśniła, że biały fiat TO-2910 na dwa dni przed porwaniem samolotu SP-LTF został zatrzymany przez patrol MO dziesięć kilometrów przed Wrocławiem celem kontroli dokumentów. Milicjant zanotował, że oprócz kierowcy, Romualda Puwalskiego, jechał drugi mężczyzna - nie legitymował go. Okoliczności wskazywały, że fiat TO-2910 po porwaniu samolotu wracał z Wrocławia do Warszawy.

Jednocześnie stwierdzono, że inż. Andrzej Piworski, posiadający w technikum mechanicznym idealną opinię, wpadł na oryginalny sposób dorabiania poza wykładami w szkole. Wykorzystując zarządzenie zezwalające przedsiębiorstwom państwowym na przekazywanie szkołom bezpłatnie starych samochodów na cele szkolne i mając dostęp do pieczętek fałszował pisma z prośbą o przekazanie samochodów. Pojazdy te remontował z kolei w prywatnych zakładach po czym sprzedawał je z należytym zyskiem. Sprawa wydała się i Piworskiemu groziło więzienie. To były właśnie owe „kłopoty”, o których wspominał. Piworski przyznał się do afery samochodowej i próby porwania samolotu. Zarzekał się jednak związku z kradzieżą skarbów.

Miłosz postanowił sam przesłuchać Piworskiego. Po upływie godziny niefortunnego porywacza przywieziono do komendy. Miłosz rozpoczął przesłuchanie:

- Dlaczego usiłował pan porwać samolot?

- Było mi źle w Polsce. Chciałem wyjechać na Zachód.

Gówniarz - pomyślał Miłosz - to po to narażał życie kilkudziesięciu pasażerów - głośno zaś powiedział:

- Znałem takich, którzy uciekali na Zachód. Potem wracali i przeprasjali. Dlaczego panu było źle w Polsce?

- Panu kapitanowi nic nie mówi moje nazwisko?

Miłosz sięgnął pamięcią wstecz, Piworski, Piworski, coś sobie przypominał...

- Nie bardzo sobie przypominam, niech pan mi pomoże.

- W roku 1945, gdy zakończyła się wojna, miałem trzy lata. Mój ojciec wycofał się na Zachód z wojskami niemieckimi. Tam zajął stanowisko zdecydowanie wrogie wobec Polski Ludowej. Matka rozwiodła się z ojcem. On sam umarł w 1960 roku. Ale ja dalej nosiłem jego nazwisko. I to stało się przekleństwem mego życia. Nie przyjęto mnie na politechnikę. Musiałem się zadowolić studiami wieczorowymi. Później miałem trudności z rodziną. Ledwo zostałem kierownikiem szkolnych warsztatów. Co za przyszłość mnie czekała? Kilka razy zgłaszałem się na wycieczki „Orbisu”, by nic wrócić, za każdym razem skreślano mnie z listy. Wówczas zrodził się pomysł porwania samolotu.

- I uważał pan naiwnie, że ten cały Rosenwerth czeka na pana, że panu pomoże i zacznie pan nowe życie bez niczego?

- Nie. Nie rozumowałem tak naiwnie. Wiedziałem, że Rosenwerth może mi pomóc urządzić się, ale do tego potrzebne są pieniądze. Warsztaty szkolne dostały właśnie starą warszawę przekazaną z przedsiębiorstwa budowlanego. Podsunęło mi to myśl, a dalej już pan wie.

- Wiem. I co dalej?

- Zdobyło w ten sposób pieniądze miały mi ułatwić start w Wiedniu. Kupiłem dolary i usiłowałem uciekać.

- A gdzie się znajdują te dolary?

- W torbie podróźnej. W specjalnym schowku.

Przyniesiono torbę Piworskiego. Istotnie, w zmyślnym schowku było ukryte tysiąc dolarów. Na razie więc wszystko się zgadzało i było logiczne.

- Niech mi pan powie teraz prawdę, jak to było z tym Kędziorkiem?

- Kędziorka poznałem w prywatnej restauracji-kawiarni „Muchomorek” na Starym Mieście. Tam przeważnie kupowałem dolary na wyprawę do Wiednia.

- Kędziorek był pewnie „konikiem”?

- Nie... W każdym bądź razie zajmował się różnymi ciemnymi sprawami. Poznałem go przy wódce. Zacząłem narzekać na to i owo. On też. Po kilku kieliszkach dogadaliśmy się, że trzeba przyskać. I tak doszło do współpracy.

- Niech się pan przyzna, on polecił panu usługi Rosenwertha?

- Nie. Adres Rosenwertha dał jeden z moich kolegów. Jechał tranzytem przez Wiedeń na wycieczkę do Włoch. A gdy Kędziorkowi wymieniłem nazwisko Rosenwertha, powiedział, że słyszał o nim.

- A z czym miał startować w Wiedniu Kędziorek?

- Obiecałem mu sto dolarów. Płatne na miejscu. W zamian za to miał się wystarać o pistolet i petardę.

Miłosz przyjął na razie zeznania Piworskiego za dobrą monetę i postanowił dalej prowadzić śledztwo, mając na uwadze fakt, że na pokładzie samolotu był ktoś, kto wiedział o zamiarze porwania samolotu, i że ten ktoś wioził neseserek z krzyżem i skarbami z muzeum. Od kogo ten ktoś wiedział o przygotowywanym porwaniu samolotu - od Piworskiego czy od Kędziorka? Zakładając, że Piworski mówił prawdę, informatorem mógł być tylko Kędziorek. Tak więc na obecnym etapie śledztwo musiało ustalić, kto był właścicielem neseserka. W tej sytuacji rola „Yellow House”, będącego pod obserwacją milicji, stała się drugoplanowa.

Miłosz przy pierwszej okazji postanowił wybrać się do Sieklic, licząc, że tam może trafić na

dalsze ślady Konikowskiego. Romaniak otaczał opieką „Yellow House”. Nie ogłoszono w dalszym ciągu komunikatu o wypadku pod Sochaczewem. Miłosz spodziewał się, że ktoś zgłosi MO o zaginięciu dwóch mężczyzn. Na razie jednak panowała cisza.

Pierwszy odezwał się Romaniak, zameldował, że do „Yellow House” przyjechał z Warszawy czarny mercedes z austriackimi znakami rejestracyjnymi. Po godzinie spędzonej w barze dwaj mężczyźni, pasażerowie mercedesa, wrócili do Warszawy, udając się do Grand Hotelu. Okazało się, że są to senior i junior Rosenwerthowie. Zajmowali wspólny apartament. Romaniak sprawdził w hotelu, że Rosenwerth senior w Polsce przebywał już kilka tygodni. Trzy dni przed porwaniem samolotu wymeldował się i wyjechał, wrócił wieczorem w dzień porwania samolotu.

- Zbieg okoliczności, czy też istotnie znajdował się on na pokładzie samolotu? - zastanawiał się Miłosz.

Jeszcze jedno nazwisko z listy pasażerów zainteresowało Miłosza - Józef Sieklicki.

- Gdzie pracuje?

- W Spółdzielni Pracy „Żelbet”.

- To ciekawe - stwierdził półgłosem Miłosz. - Czyżby inż. Józef Sieklicki pochodził z Sieklic i był synem ostatniego właściciela majątku? To może on wy dostał od Konikowskiego krzyż i usiłował wywieźć za granicę rodzinną pamiątkę. Fakt, że neseserek znaleziono przy drugim czy trzecim fotelu bynajmniej nie przeczył tej tezie. Mógł się zresztą znać z Kędziorkiem. Miłosz nie miał wątpliwości, że Kędziorek odgrywał jakąś rolę w aferze „Muzeum”. Był to cwany ptaszek, ale Miłosz spodziewał się, że kiedy przedstawi mu się jakieś dowody, zacznie sypać. Należało tylko odczekać.

- Poruczniku - zdecydował Miłosz - rozpracujcie dokładnie Sieklickiego, a ja jutro zdejmuję „Yellow House”.

O godzinie dziewiątej przed willę Romualda Puwalskiego zajechały trzy samochody milicyjne. Milicjanci sprawnie obstawili posesję, a Miłosz z Romaniakiem weszli do środka. Za ladą barową jak poprzednio urzędowała tęga brunetka. W sali jadalnej siedziało dwóch mężczyzn jedząc śniadanie. Romaniak wylegitymował ich. Byli to pracownicy z pobliskiej budowy. Powiedział im, aby po zjedzeniu posiłku opuścić lokal. Tymczasem Miłosz wylegitymował bufetową.

- Czy pani jest współniczką lokalu?

- Nie. Pracowniczką.

- A kto jest właścicielem?

- Pan Romuald Puwalski. Nie ma go. Wyjechał na kilka dni.

- Wiem o tym. Pan Puwalski już tu nie wróci. Mam polecenie przeprowadzenia rewizji. Proszę nie utrudniać nam pracy.

Brunetka wyraźnie się przestraszyła. Miłosz obserwował ją kątem oka. Nie mogła mieć czystego sumienia. Potwierdzało to zresztą jej poprzednie zachowanie.

- Ale co się stało? Dlaczego? O co chodzi?

Dowie się pani później. Na razie nie będę pani tłumaczył. Proszę mnie zaprowadzić do mieszkania pana Puwalskiego.

Znajdowało się ono na piętrze. Dwa luksusowo umeblowane pokoje, na ścianach wisiały obrazy o dużej wartości,

- A pani gdzie mieszka?

- Ja - zawahała się - też tutaj. Mamy się pobrać z panem Puwalskim.

- Rozumiem.

A więc przyjaciółka Puwalskiego. Teraz nie miał najmniejszej wątpliwości, że ona też jest członkiem gangu.

- Czy to jest biurko pana Puwalskiego?

- Tak.

- Proszę przejrzeć jego zawartość - polecił Miłosz - a ja zejść na dół.

Na parterze willi mieściły się pomieszczenia restauracyjne, trzy sale konsumpcyjne, bar i hall z szatnią oraz WC. W podziemiu była kuchnia z zapleczem, magazyn żywnościowy, kotłownia, pomieszczenia na opał i garaż.

W skład personelu „Yellow House” poza bufetową, przyjaciółką Puwalskiego, wchodziła kucharka z pomocnicą, dwie kelnerki i szatniarz. Romaniak przesłuchiwał ich kolejno w sali restauracyjnej. Wśród tej piątki mogli być również wspólnicy Puwalskiego.

Kucharkę i jej pomocnicę Romaniak szybko wykluczył. Pracowały od roku. Mieszkają w Otwocku. Mogą przedstawić zaświadczenia z poprzednich miejsc pracy. Nie interesowało ich nic, co się dzieje poza kuchnią. Za zgodą Miłosza Romaniak odesłał je do domu. Z kolei przesłuchał kelnerki, dziewczyny w wieku około dwudziestu pięciu lat. Młode kelnerki w tego rodzaju lokalu zawsze mogą odgrywać podwójną rolę, niekoniecznie jednak wchodząc w kolizję z prawem. Obie dziewczyny mieszkały w pobliskim osiedlu. Pracowały na zmianę. Puwalski płacił dobrze i punktualnie. Nie mogą na niego narzekać. Do lokalu przychodzili różni goście. Jak to normalnie w restauracji. Wielu z nich znało osobiście Puwalskiego. Obie zeznały, że często bywał tu niejaki pan Miecio. Z właścicielem lokalu był po imieniu. Według jednej kelnerki był to wysoki blondyn, według drugiej niski brunet. Skąd Miecio przyjeżdżał, nie wiedziały. Przeważnie zjawiał się tu taksówkami. Czy przyjeżdżały tu samochody z obcą rejestracją? Tak. Kilka razy zjawiał się czarny mercedes. Przyjeżdżał nim starszy, otyły pan. Mówił obcym akcentem, a Puwalski odnosił się do niego z szacunkiem. To mógł być Rosenwerth.

Po namyśle Miłosz postanowił zwolnić obie kelnerki.

Potem zabrał się do przesłuchania szatniarza, małego bruneta. Ten wydawał mu się podejrzany. Czekając na swoją kolejkę starał się ukryć zdenerwowanie maskowaną obojętnością. Nie robił wrażenia człowieka, który by całe życie spędził za ladą szatni restauracyjnej. Mieszkał na stałe w Warszawie. Codziennie dojeżdżał do pracy. Czy mu się to opłacało?. Nie mógł znaleźć innej pracy. A gdzie przedtem pracował? W zakładach wytwórczych jako zaopatrzeniowiec. Ma średnie wykształcenie ekonomiczne. Jakież mógł mieć trudności z pracą? Do Puwalskiego przychodzili różni ludzie. Nie zna ich. Nikogo. Nie słyszał o panu Mieciu, zajmował się szatnią i nic go więcej nie interesowało. Ekonomista na stanowisku szatniarza. Dość to dziwne. W tym momencie w hallu odezwał się telefon.

- Kto odbierał telefony?

- Ja.

- Proszę odebrać, powiedziec „słucham” i oddać mi słuchawkę.

Szatniarz przeszedł do hallu i podniósł słuchawkę, powiedział „słucham” i oddał ją Miłoszowi. Po drugiej stronie ktoś się pytał: „Co słyhać z Romkiem? W dalszym ciągu nie daje znaku życia?” Miłosz nie odpowiadał. Znów padło to samo pytanie. Rozmówca miał wyraźnie cudzoziemski akcent. Po chwili zdenerwowania rzucił słuchawkę na widełki. Szatniarzowi po czole spływał pot. Kapitan nie odkładając słuchawki polecił jednemu z wywiadowców udać się na pocztę i sprawdzić, z kim jest połączony „Yellow House”. Głośno zaś zwrócił się do szatniarza.

- A niejakiego Rosenwertha z Wiednia nie zna pan przypadkiem?

- Nie. Nie znam.

- To ciekawe - stwierdził Miłosz i udał się na piętro do Romaniaka.

Był on zajęty przeglądaniem zawartości biurka Puwalskiego. Znalazł tu jedynie dokumenty świadczące o legalnej działalności gospodarczej Romualda Puwalskiego. Rachunki, deklaracje dla ZUS, oświadczenia podatkowe itd. W szafach też, nic ciekawego nie znaleziono. Na etażerze stała niewielka kasetka. W środku znajdowała się biżuteria o malej wartości. Uwagę Miłosza zwróciło kilka pierścionków. Robiły wrażenie nie wykończonych, brakowało na nich prób. Wysłuchawszy sprawozdania Romaniaka Miłosz zwrócił się do przyjaciółki Puwalskiego.

- Czy zna pani niejakiego pana Miecia, częstego gościa Puwalskiego?

- Nie. Nie znam. Romek nie przedstawiał mi swych znajomych.

- To dziwne. Jak się z kimś wspólnie mieszka, to się ma wspólnych znajomych.

W tym czasie, gdy Miłosz przebywał w „Yellow House”, wyznaczony przez niego oficer udał się do spółdzielni „Żelbet”. Siedziba spółdzielni mieściła się na przedmieściu w starym baraku. Zajmowała się ona wykonywaniem specjalnych konstrukcji żelbetowych. Wiceprezesem zakładu był

mgr inż. Józef Sieklicki. Oficer sprawdził w dziale personalnym personalia Sieklickiego. Istotnie urodził się on w Sieklicach w r. 1937. Spółdzielnia żadnych prac we Wrocławiu nie prowadzi. Inżynier Sieklicki wykorzystywał niedawno pięć dni zaległego urlopu. Gdzie był, tego nie wiadomo. Oficer udał się do gabinetu wiceprezesa. Przedstawił się oznajmiając, że chce uzyskać jeszcze pewne informacje w sprawie porwania samolotu.

- Proszę bardzo, chętnie ich udzielię w miarę moich możliwości.

Oficer zadał kilka pytań odnośnie rozmieszczenia pasażerów oraz bagażu w samolocie, a następnie zapytał:

- Pan jest urodzony w Sieklicach?

- Tak.

- Czy panu jest wiadomo, że w posiadaniu pańskiej rodziny znajdował się złoty maltański krzyż?

Inżynier nie okazał ani zdziwienia, ani większego zainteresowania.

- Czy coś pan na ten temat słyszał?

- Tak, tego rodzaju legendy krążyły w rodzinie. Przyznam się, że specjalnie tym się nie interesowałem. Moje pokolenie ma już zgoła inne problemy i zainteresowania. Gdy rodzice w rezultacie reformy rolnej opuszczali Sieklice, miałem osiem lat. Nie rozpacziałem z tego tytułu. Nie byłem bowiem przywiązany do tej zabitej deskami dziury. Ale moja siostra, starsza ode mnie prawie o piętnaście lat, mogłaby panu udzielić bardziej wyczerpujących informacji, o ile pana interesują romantyczne przeżycia mego praszczura.

- Bardzo chętnie skorzystam z informacji pańskiej siostry. A gdzie ją można znaleźć?

- Moja siostra, Wanda Smólska, mieszka we Wrocławiu. Jest wdową po lekarzu. Mieszka na ulicy Skłodowskiej-Curie, a na Starym Mieście prowadzi sklep komisowy. Właśnie wracałem od niej, kiedy nastąpiło porwanie samolotu.

- Dziękuję. Jeszcze jedno pytanie. Czy pan znał swoją rodzinę z Sieklic Leśnych?

- Nie. Nie utrzymywałem z nimi żadnych kontaktów. Nie wiem nawet, co się z nimi stało. Zresztą, cóż to za rodzina? Dziesiąta woda po kisielu.

Ani na parterze, ani na piętrze Miłosz nie znalazł niczego, co by świadczyło o nielegalnej działalności „Yellow House”. Nie miał jednak wątpliwości, że gdzieś musi być schowek. Mógł on się znajdować albo w ogrodzie, albo w willi. Był przekonany, że skarby skradzione w muzeum wieziono z Wrocławia do willi Puwalskiego. Należało przypuszczać, że poprzednio skarby były przechowywane u owego pana Miecia.

Miłosz wiedział z doświadczenia, że światek przestępczy prowadzący nielegalną działalność gospodarczą wykazuje dużą pomysłowość w wyszukiwaniu schowków. Skrytki robiono w kominach,

nie używanych piecach, w stropach, ścianach itp. Miłosz miał w swojej ekipie dwóch techników budowlanych, specjalistów w tej dziedzinie. Zanim skończyła się rewizja i przesłuchiwanie pracowników, przetrząsnęli oni dokładnie strychy, opukali ściany, sprawdzili przewody wentylacyjne i dymowe.

- Jeżeli jest tu schowek, to tylko w piwnicy - zameldował jeden z nich.

Przetrząsnęto kuchnię, magazyn, kotłownię i garaż. Minęły już dwie godziny. Zdawało się, że w willi niczego się nie odkryje, gdy jeden z techników zwrócił uwagę na ściankę w garażu - po jej drugiej stronie był magazyn opału. Coś tu według niego było podejrzane. Wyjął miarkę i zmierzył odległość od drzwi do ściany z garażem w magazynie, a następnie tę samą odległość w korytarzyku.

- Kapitanie - zameldował - tu się coś kryje. Niemożliwe, by mur miał półtora metra grubości, a tak wynika z pomiarów.

Potem obaj poszli na górę. Znow wykonali kilka pomiarów: wynikało z nich, że nad grubym, półtorametrowym murem stoi lada szatniarza. Ponieważ nie można jej było przesunąć, podniesiono ją łomem w górę. Okazało się, że pod ladą nie ma posadzki i że stoi ona na betonowym podłożu, unieruchomiona czterema bolcami, tkwiącymi w czterech tulejkach. Z boku znajdowała się kłapa. Uniesiono ją. Pod spodem ukazała się niewielka piwnica ze stalową drabiną. Milicjant zajrzał do środka oświetlając wnętrze elektryczną latarką. Na suficie znajdowała się lampa. Przekręcił kilka kontaktów znajdujących się przy wejściu. Okazało się, że zapala się jednocześnie lampa umieszczona na zewnątrz i w środku piwnicy. Miłosz wezwał szatniarza.

- Tego też pan nie widział? Szatniarz gryzł nerwowo wargi, nie wiedząc co odpowiedzieć.

- Pan Puwalski nie wtajemnicza mnie w swoje sprawy.

- Dobrze. Zobaczymy...

Piwnica licząca metr na cztery była pusta. Specjaliści od skrytek nie dali się jednak zwieść. Jeden z nich wziął z kotłowni młot i zaczął nim bić w betonową podłogę. Centymetr po centymetrze. Po dziesięciu minutach tej pozornie syzyfowej pracy na podłodze w kącie zarysował się wyraźny prostokąt.

- Już jestem w domu - obwieścił z triumfem.

Ujął w dłoń przecinak i za jego pomocą uniósł w górę ciężką, betonową przykrywą. Pod spodem znajdował się mały schowek, a w środku kilka stalowych skrzynek, jak się okazało ze złotem, dewizami i kosztownościami.

- Znamy te chwyt - powiedział milicjant. - Robią duży schowek. Tam się pakuje byle co. Dla upozorowania. A w rzeczywistości to albo w tym schowku, albo gdzie indziej jest drugi. Znacznie staranniej zamaskowany. Ten drugi często się robi w podłodze przykrywając ciężką betonową kłapą, aby nie dudniło. Szparę zakleja się plasteliną zmieszaną z cementem. Tego zupełnie nie widać. Ale jak się uderzy, to ukazują się ślady. Tak jak było i teraz.

Stalowe skrzynki wyniesiono do hallu. Dewizy i kosztowności przedstawiały wartość kilku milionów. Zawołano z piętra przyjaciółkę Puwalskiego. Oczywiście ani ona, ani szatniarz nic o tym nie wiedzieli.

- To się jeszcze okaże - stwierdził Miłosz.

Miniony dzień Miłosz uważał za pomyślny. Rewizja w „Yellow House” dała nadspodziewane rezultaty. Informacja, którą uzyskano od Sieklickiego, też była cenna. W dalszym ciągu jednak nie można było wykluczyć, że to on komunikował się z Konikowskim i usiłował wywieźć krzyż.

Miłosz podzielił się swymi spostrzeżeniami z Sobótką; uzgodnili, że rannym samolotem polecą do Wrocławia.

Wczesnym rankiem Sobótka znalazł się już na lotnisku. W przejściu do hallu spotkał się z dowódcą placówki WOP i Chudzikiem.

- Witam, kapitanie. Cóż to, szukacie przygód? - zażartował wopista.

- Zgadliście. Lecę do Wrocławia. Może znajdę się w Berlinie.

Jak się okazało, Chudzik miał prowadzić samolot do Wrocławia. Pożegnali się z oficerem WOP i wyszli na płytę. AN Chudzika - SP-LTF stał już gotowy do odlotu. Pasażerowie gęsiego przechodzili przez specjalną kabinę ustawioną w przejściu. Było to urządzenie uniemożliwiające próbę porwania samolotu. Polem kolejno niknęli we wnętrzu kadłuba. Stewardesa przywitała pasażerów w imieniu załogi i kapitana Chudzika i samolot ruszył na start.

Sobótka mimo woli zaczął odtwarzać wypadki, które się rozegrały tydzień temu na pokładzie tego samolotu i analizować sprawę, którą mieli rozwikłać. Na drugim fotelu licząc od kabiny załogi siedział Kędziorek. Tuż za nim Mieczysław Konikowski. Czy Konikowski mógł być owym panem Mieciem, przyjacielem Puwalskiego? Czy to on zabił się razem z nim pod Sochaczewem?

Po godzinnych locie AN wylądował we Wrocławiu. Sobótka pożegnał się z Chudzikiem i opuścił samolot. Przed dworcem czekał na niego samochód z komendy MO. Sobótka w kilku słowach wyjaśnił oficerowi wrocławskiej milicji cel swego przybycia.

- Chciałem porozmawiać z niejaką panią Wandą Smólską, siostrą inżyniera Sieklickiego. Jedziemy na Stare Miasto.

Po półgodzinnej jeździe przez jeszcze nie odbudowane przedmieście zajechali na Stary Rynek zatrzymując się koło ratusza.

- Poruczniku, wracajcie do komendy. Po rozmowie przyjadę tam do was.

Wszedł w wąską, staromiejską uliczkę. Zatrzymał się przed kamieniczką ze wskazanym numerem. Obok komisur znajdowała się kawiarnia „Muchomorek”, zakład agencyjny. Sobótka przypomniał sobie, że właśnie w tym lokalu Piworski poznał się z Kędziorkiem.

Pani Smólska, ponad pięćdziesięcioletnia dama, okazała się bardzo rozmowna. Sieklice, naturalnie, zna dobrze. Tam się wychowywała. Jest do nich bardzo przywiązana. Cóż, trzeba było je opuścić! Na pytanie, czy słyszała o romańskim krzyżu, odpowiedziała po chwili wahania.

- Tak, słyszałam. Ale czy on istnieje, trudno mi powiedzieć. Mój ojciec twierdził, że istnieje i że jest przechowywany przez tych z Sieklic Leśnych. Ale czy to prawda? Krzyż może być już tylko symbolem.

- A czy z młodymi Sieklickimi z Sieklic utrzymywała pani stosunki?

- Nie. Ale nic ze względów na rodzinne pretensje. Obaj synowie byli starsi ode mnie. Służyli w wojsku i stosunkowo wcześniej opuścili rodzinny dom. W takich zapadłych dziurach jak Sieklice kontakty towarzyskie z sąsiadami obracały się wokół kościoła. Po niedzielnych nabożeństwach urządzano wizyty, spotkania itp. A Sieklicy z Sieklic Leśnych byli przecież kalwinami.

- Rozumiem - bąknął Sobótka. Zadał jeszcze kilka pytań i wreszcie przeszedł do tematu, który go intrygował od początku.

- Czy pani zna swego sąsiada, pana Balcerka, właściciela kawiarni?

- O tyle go znam, że czasem wpadam do „Muchomorka” na filiżankę kawy, Ale żebym bliżej znała pana Balcerka...

W głosie Smólskiej Sobótka wyczuł lekką nutę wyższości. Ona, panienska ze dworu, miałaby się zadawać z agentem. - Pani mąż był lekarzem?

- Tak, docentem akademii medycznej.

Po wyjściu od Smólskiej, która właściwie do sprawy nic nowego nie wniosła, Sobótka poszedł do Balcerka.

- Czy zna pan niejakiego Kędziorka? - zapytał z miejsca.

- Znam. Mój klient, że tak powiem. Łachudra jak ci wszyscy, co tu siedzą. Kiedyś się miało porządny lokal. Przyszły domiary i trzeba było biegać jako kelner.

Wziąłem w ajencję tę dziurę, by z czegoś żyć.

Sobótka przyjrzał się lokalowi - nie był ani piękny, ani elegancki, a towarzystwo rzeczywiście było takie, że Kędziorek pasował do nich jak ulał.

Gdy nazajutrz Sobótka zameldował się u Miłosza, dowiedział się od niego, że nadeszła ważna wiadomość z Sochaczewa. Ustalono tam, że zabity w wypadku towarzysz Puwalskiego był zootechnikiem pobliskiego PGR i nazywał się Zenon Ratajczyk. Przedwczoraj pracowniczka kiosku „Ruchu” przyniosła do komendy MO teczkę. Powiedziała, że zostawił ją na półeczce kiosku jakiś mężczyzna dwa czy trzy dni temu. Mężczyzna ów kupował w kiosku różne drobiazgi, a gdy kończył zakupy, podjechała biała „taksówka”, jak to na prowincji nazywają każdy osobowy samochód.

Kierowca podszedł do kiosku prosząc o paczkę papierosów. Gdy wracał do samochodu, podszedł do niego Ratajczyk. Zaczęli rozmawiać. Kierowca otworzył drzwi zapraszając go do środka. Po chwili odjechali w stronę Warszawy. Kioskarka zauważyła teczkę, kiedy samochód odjechał. W środku był dowód osobisty, książeczka PKO i kilka drobiazgów. Jak stwierdzono, Ratajczyk miał urlop i tego dnia wieczorem wyjeżdżał na wczasy. Kierowca stara z PGR-u zeznał, że rano Ratajczyk pojechał z nim do Sochaczewa i powiedział, że wróci autobusem lub okazijnym samochodem.

PGR znajduje się przy szosie w odległości około ośmiu kilometrów od Sochaczewa w kierunku Warszawy, a trzy kilometry od miejsca wypadku. Pracownicy PGR rozpoznali w zabitym Ratajczyka. Tak więc przypadkowy pasażer nie miał nie wspólnego z Puwalskim.

Sprawa wolno posuwała się naprzód. Odzyskano wprawdzie skradzione skarby, ale w dalszym ciągu nie rozwiązano wielu spraw. Kto jeszcze należał do gangu poza trójką z „Yellow House”? U kogo skarby były przechowywane we Wrocławiu? Jakim sposobem romański krzyż zawędrował na pokład porwanego samolotu? I wreszcie sprawa najistotniejsza: kto powiadomił gang o zamiarze porwania samolotu? Kędziorek czy też Piworski? No i jaką rolę w tej aferze odgrywał Rosenwerth?

Tego jeszcze dnia Romaniak zameldował, że obaj Rosenwerthowie zapowiedzieli w Grand Hotelu, że wyjeżdżają dziś po południu. Nie było pretekstu, by ich zatrzymać. Zostały powiadomione wszystkie przejścia graniczne i wydano polecenia, aby dokładnie zrewidować mercedesa Rosenwerthów.

Nad wieczorem zjawili się w Cieszynie. Zgodnie z poleceniem wopiści z celnikami odstawili samochód na parking i poddali go drobiazgowej rewizji. Pomysły urządzenia różnych schowków w pojazdach mechanicznych są przeróżne. Ale też i nasi celnicy dobrze je znają. Po półgodzinie odkryli kilka schowków. Wszystkie jednak były puste. Również w bagażach obu dżentelmenów nie znaleziono nic podejrzanego. Nie było więc powodów, aby ich zatrzymać. W nocy przez Czechosłowację odjechali do Wiednia.

Nazajutrz rano Romaniak zameldował się u Miłosza, kładąc na biurku kartkę pocztową.

- Otrzymałem ją od Horoszki. *Szanowny panie poruczniku* - czytał kapitan. - *Mam dla pana ciekawą i tajemniczą sprawę. Za stary jestem, by jechać do Warszawy. Więc bardzo pana proszę, aby pan się do mnie pofatygował. Z poważaniem Adolf Horoszko.*

- I co, poruczniku, o tym powiecie?

- Proszę zwrócić uwagę na stempel pocztowy „Warszawa”.

- Tak. Kartka została wczoraj wysłana z Warszawy.

- A może to w ogóle nie jest podpis Horoszki?

- Możliwe. Trzeba to wszystko po kolei wyjaśnić. Nie ma rady. Bierzcie samochód i smarujcie do Sieklic. A ja w tym czasie przesłucham obu porywaczy. Może jednak coś z nich wydobędę.

Około dziesiątej Romaniak dojechał do Sieklic Dużych. Nie zatrzymując się minął plac i

pojechał w stronę Sieklic Leśnych. Poprzedniego dnia padał deszcz, trakt był mokry i widniały na nim wyraźne ślady kół samochodowych.

- Któż to może jeździć do Sieklic Leśnych samochodem? - zastanawiał się oficer.

Ku swemu zdumieniu na podjeździe przed dworkiem zobaczył karetkę pogotowia i milicyjną Warszawę.

- Co się tu stało? - zapytał stojącego na ganku oficera MO.

- Stary Horoszko nie żyje. Jestem ppor. Adamski z Komendy Powiatowej, a kolega?

- Porucznik Romaniak z Komendy Głównej. Biorę udział w śledztwie akcja „Muzeum”. Jak mam zrozumieć, że Horoszko nie żyje?

- Właśnie, jakaś tajemnicza historia. Chodźmy do środka, tam jest lekarz pogotowia.

W jadalni przy stole, zagłębiony w fotelu, siedział Horoszko. Miał otwarte martwe oczy. Jakby patrzył gdzieś w przestrzeń. Przy stoliku koło okna siedział lekarz w białym fartuchu wypełniając akt zgonu.

- Co było przyczyną zgonu? - zapytał Romaniak.

Lekarz rozłożył ręce. Popatrzył na Horoszkę, na druczki i powiedział:

- Mogę stwierdzić, że Horoszko nie żyje. Przyczyny zgonu nie jestem w stanie stwierdzić. Gdy przyjechałem tu wezwany przez dyrektora PGR, na pierwszy rzut oka zdawało się, że Horoszko zmarł na serce. Ale gdy mu się przyjrzałem, nabrałem wątpliwości.

Wstał od stolika i podszedł do zwłok.

- Proszę zwrócić uwagę na plamy na twarzy i zabarwienie źrenic. Wskazuje to na -\zatrucie. Zawiadomiłem milicję.

- Uważa pan, że to może być morderstwo? - zapytał Romaniak.

- Tego rodzaju stwierdzenia nie należą do lekarza pogotowia. Mogę się mylić. A może staruszek nadużył lekarstw lub pomylił się. W korytarzyku stoi spora apteczka, znajdują się tam dziesiątki różnych lekarstw. Trzeba przeprowadzić dokładną analizę, czym się zatrzał Horoszko. Śmierć nastąpiła wczoraj wieczorem. To wszystko.

Lekarz spakował swój sprzęt, zostawił akt zgonu, pożegnał się i odjechał.

- I co kolega na to? - zapytał Adamski.

- Musicie ściągnąć ekipę dochodzeniową i lekarza sądowego. Należy ustalić przyczynę zgonu.

- To wiem i rozumiem. Czy ma tu miejsce morderstwo, czy nieszczęśliwy wypadek.

Romaniak miał w kieszeni kartkę od Horoszki. Sugerowała ona możliwość morderstwa. Czy powiedzieć o tym Adamskiemu? Zdecydował się nie mówić. Po co sugerować? Niech się stara najobiektywniej ustalić prawdę.

- Nie wiem. Nie mam na ten temat zdania - powiedział po chwili. - Bierzcie się, poruczniku, do roboty. Za kilka dni zatelefonuję do was.

Pożegnał się i ruszył samochodem w stronę Sieklic Dużych. W ostatniej chwili zdecydował się wpaść do PGR.

Inżyniera Boreckiego zastał porucznik w swoim gabinecie.

- Lekarz pogotowia mówił, że pan go zawiadomił o śmierci Horoszki. Czy to prawda? - zapytał Romaniak sadowiąc się po drugiej stronie biurka.

- Tak!

- A jak się pan o tym dowiedział?

- Zawiadomił mnie jeden z traktorzystów pracujący na polu Horoszki. A on z kolei dowiedział się o tym od gospodyni Horoszki, Marcjanny. Starowina przybiegła na pole lamentując: „pan nie żyje”. Traktorzysta przerwał pracę i przyleciał do mnie. Zatelefonowałem zaraz do ośrodka. Powiedzieli, że akurat jest u nich pogotowie i zaraz tam się zjawi lekarz.

- Pan nie wie jeszcze, na co umarł Horoszko?

- Panie poruczniku, jak się ma skończone osiemdziesiąt lat, można umrzeć na wszystko. Po prostu ze starości, a zresztą... - Borecki umilkł.

- Co pan chciał powiedzieć?

- Horoszko był skończonym hipochondrykiem. Cierpiał na wszystkie choroby i zażywał każde lekarstwo, które mu dostało się do rąk. Mógł się zatruć.

- Właśnie to ostatnie miało miejsce. Tak przynajmniej twierdzi lekarz. Kiedy ostatnio widział pan Horoszkę?

- Cztery dni temu we wtorek. Przychodził tu do mnie prosząc, bym mu pomógł w podorywce. A poza tym chciał, aby mu ściągnięto na podwórze ścięte drzewo. Na naszych polach pracowała właśnie brygada Grochowiaka.

- Grochowiaka? - przerwał porucznik. - Kto to jest?

- Traktorzysta.

- Skąd on pochodzi?

- Z Sieklic. Jego ojciec przed wojną pracował w majątku. Po wojnie młody Grochowiak skończył kurs traktorzystów i wrócił do Sieklic. Po ojcu odziedziczył tu domek.

- Co pan może o nim powiedzieć?

- Bardzo dobry traktorzysta.

- A jego sylwetka moralna?

- Pozostawia nieco do życzenia. Wiem, że miał zatargi z MO. Stawał na kolegium itp.

- Czy mógłbym się z nim zobaczyć?

- O ile pamiętam, wyjechał na urlop. Sprawdzimy to w dziale kadr.

Po chwili zjawiała się pracowniczka działu kadr. Z jej wyjaśnień wynikało, że Grochowiak otrzymał skierowanie na wczasy do jednego z dolnośląskich uzdrowisk. Wyjechał autobusem do Warszawy we środę rano.

- A jak było z tym ściągniętym drzewem? - zapytał porucznik.

- Poleciałem Grochowiakowi, by je ściągnął. Po południu powiedział mi, że osobiście to zrobił. Był u Horoszki i otrzymał od niego na ćwiartkę.

Romaniak pamiętał, że oprócz okoliczności śmierci Horoszki należy jeszcze wyjaśnić tajemnicę kartki. Coś się za tym musiało kryć. Kartka została wysłana z Warszawy we środę po południu. Tego dnia w Warszawie był Grochowiak, który dzień przedtem widział się z Horoszką.

Czyżby to był przypadek? - zastanawiał się Romaniak.

Tegoż dnia przed południem Miłosz przesłuchiwał Kędziorka. Twierdził on z uporem, że nie mówił nikomu o zamiarze porwania samolotu. A przecież albo on, albo Piworski musieli komuś o tym powiedzieć. Do sterroryzowania załogi Piworski używał niemieckiego pistoletu typu „mauser”. Tłumaczył się, że kupił go od jakiegoś „magika” na placu Nankera. Było to zupełnie możliwe. Na placu Nankera można było kupić wszystko, z czołgiem włącznie. W czasie oblężenia Wrocławia w 1945 roku Niemcy poukrywali w schowkach dużą ilość broni i amunicji. W okresie odbudowy miasta część z niej wpadła w ręce władz bezpieczeństwa, wiele jednak przeszło w posiadanie różnych szumowin. Pistolet „mauser” nie używany ani przez Wojsko Polskie, ani przez władze bezpieczeństwa, mógł pochodzić również z tego źródła. Petarda natomiast była zupełnie prymitywna i poza hukiem i dymem nie mogła nikomu uczynić krzywdy.

Po którymś z kolei pytaniu Miłosza Kędziorek przypomniał sobie, że o zamierzonej ucieczce rozmawiał ot tak sobie z jakimś „Felusiem Złotą Rączką”. Tak go nazywano; jakie jest jego prawdziwe nazwisko, nie wiedział.

- Jak to było z tym Felusiem Złotą Rączką? - zapytał kapitan.

- Kiedyś spotkałem go w „Muchomorku”. Pogadałem o tym i owym. Powiedziałem, że mam zamiar uciekać za granicę, bo tu mi się nie podoba. Zaprosił mnie na wódkę do baru. Ale pomagać, to nie pomagał.

Ślad więc nareszcie był. Należało teraz stwierdzić, kim jest naprawdę Feluś Złota Rączka i komu mógł on przekazać dalej tę wiadomość.

- O Felusiu Złotej Rączce zawiadomię Wrocław, a wy, poruczniku, musicie poszukać Konikowskiego. Myślę, że chyba nie uciekł za granicę i gdzieś się przed nami ukrywa. Radzę, abyście znów odwiedzili jego mieszkanie. Może wam się przydać jego fotografia.

Konikowski zajmował dwupokojowe mieszkanie z kuchnią dość dziwnie umeblowane - zastawione było zydłami, prostymi stołami wiejskimi, skrzyniami i regałami. Na biało malowanych ścianach porozwieszano różne przedmioty sztuki zdobniczej, drewniane i metalowe, sporo ich znajdowało się również na regałach. Wśród niewątpliwie wartościowych autentyków widniały słabe falsyfikaty. Na jednej z półek leżała korespondencja, kwity, rachunki itp. Tam też Romaniak znalazł parę fotografii Konikowskiego. Wśród korespondencji znalazł kilka listów, pochodzących od niejakiego Łumieszki, konserwatora przedmiotów sztuki zdobniczej. Z ich treści wynikało, że zajmował się on konserwacją przedmiotów dostarczonych przez Konikowskiego. Mogły to być przedmioty pochodzące z kościołów, gdzie pracował Konikowski. Należało to sprawdzić.

Romaniak udał się na Krakowskie Przedmieście, gdzie Łumieszko prowadził swoją pracownię. Było to małe, ciasne pomieszczenie zawałone stosem połamanych kandelabrow, lichtarzy itp. Mistrz liczący już chyba około osiemdziesięciu lat nie zdziwił się wizytą oficera MO.

- Chciałem pana zapytać, czy zna pan niejakiego Konikowskiego?

- Naturalnie, że znam. Po pierwsze to on stale przysyłał mi klientów, a po drugie sam jest zbieraczem. Jego mieszkanie wygląda jak muzeum. Ściany od góry do dołu są zastawione antykami. Ale jeśli mam być szczerzy, to połowa tych antyków ujrzała światło dzienne u mnie.

- To znaczy, że pan je tu sfabrykował?

- Tak. Prosił, aby kopiować przedmioty, które przynosił do naprawy. Każdy ma jakiegoś konika, a Konikowski - ha, ha, co za zbieżność z nazwiskiem, jak wspominałem, zbierał antyki.

- A co pan ostatnio mu kopiował?

- Ostatnio, ostatnio... To był kinkiet z okresu Księstwa Warszawskiego. Bardzo ładna robota.

- Proszę pana, a czy Konikowski nie wspominał o złotym romańskim krzyżu?

- A tak, tak, wspominał, że gdzieś, nie wiem nawet gdzie, widział złoty, wysadzany kamieniami krzyż romański. Jego zdaniem autentyczny, A ostatnio, gdy był u mnie, około dwóch miesięcy temu, pytał, czy potrafiłbym zrobić kopię tego krzyża.

- Czy mówił panu, że przywiezie krzyż?

- Nie. Obiecał, że dostarczy dokładny rysunek. Rozumie pan, że robić kopię z rysunku to nie jest proste. Miała ona być wykonana ze srebra i pozłacana.

- Czy Konikowski dostarczył panu rysunek?

- Nie. Potem wyjechał i nie odezwał się. Nie wiem, gdzie się podziewa.

- My też nie wiemy - mruknął Romaniak.

Ppor. Adamski był młodym oficerem MO. Nie miał jeszcze dużego doświadczenia, ale cechowała go inteligencja i bystry, dociekliwy umysł. Do milicji wstąpił z zamiłowania. Prawdę mówiąc służba w komendzie niewielkiego, spokojnego powiatu, gdzie się zdarzały jedynie drobne kradzieże i wiejskie bójki, nie odpowiadała jego temperamentowi.

Pamiętał, że oficer przybyły z Komendy Głównej nadmienił, że bierze udział w akcji „Muzeum”. Co znaczy ta akcja, Adamski świetnie wiedział. Jeżeli zjawił się tu oficer prowadzący śledztwo w tej sprawie, to nie ulega wątpliwości, że jakieś nici prowadzą do Sieklic Leśnych.

Czyżby Śmierć Horoszki, zdziwaczałego staruszka, wiązała się z tą wielką kradzieżą? - zastanawiał się Adamski.

Zdopingowało go to przypuszczenie i zabrał się energicznie do pracy. Po pierwsze musiał ustalić, co Horoszko robił w dniu zgonu. Przesłuchawszy gospodynię Horoszki dowiedział się, że pan rano chodził do Sieklic Dużych po zakupy, potem przebywał w gospodarstwie, a wieczorem zjadł kolację.

- Sama mu przyniosłam jak zawsze.

- Co pan jadł na kolację?

- To co zawsze. Kilka kromek chleba z masłem i kubek mleka.

Resztki tej kolacji stały na stole. Nie dojedzona pajda chleba. Pusty kubek z resztkami mleka na dnie.

Zwłoki zostały zabrane do szpitala celem przeprowadzenia sekcji. Pracownicy ekipy dochodzeniowej mozolnie poszukiwali śladów mogących rzucić światło na tajemnicę śmierci Horoszki.

Porucznik udał się do Sieklic Dużych z zamiarem stwierdzenia, co tam robił Horoszko w dniu swojej Śmierci. Gospodyni zeznała, że kupował chleb, masło i cukier. Adamski zaczął więc śledztwo od złożenia wizyty w sklepie PZGS. Sprzedawca czy też kierownik sklepu - gruby, łysawy mężczyzna - dobrze pamiętał Horoszkę.

- Kupił bochen chleba, kilogram cukru, pogadał, ponarzekał i wyszedł ze sklepu.

- Nie zauważył pan, gdzie potem poszedł?

- Horoszko, proszę pana, po wyjściu ze sklepu często chodził na pocztę. Czy wówczas tam poszedł, nie zauważyłem. Miałem tu kilku klientów i nie patrzyłem przez okno. Nie przypuszczałem, że widzę go po raz ostatni.

- A gdzie się znajduje poczta?

- Naprzeciwko. W tym białym budyneczku.

Poczta, a właściwie agencja pocztowa, mieściła się w zabytkowym, klasycystycznym budyneczku tzw. starej karczmy. Kiedyś, gdy przez Sieklice przebiegał trakt, stanowiła ona obok kościoła centralny punkt. Tu się zatrzymywały konne dyliżanse, karoce, powozy i bryki możnych podróżujących po świecie, Dziś przed starą karczmą zatrzymywały się jedynie pocztowe nysy. Budynek był za obszerny na obecne potrzeby. Agencja zatrudniała dwóch pracowników - kierownika i jego pomocnika. Adamski zapytał o Horoszkę.

- Znam go - odpowiedział kierownik - ale wczoraj go u nas nie było.

- Ostatni raz odwiedził pocztę w środę - wtrącił nie pytany pomocnik kierownika.

- Może - uzupełnił kierownik - ja go tam nie widziałem, bo mnie nic było.

- Horoszko odebrał list - mówił pomocnik, jakby chcąc się pochwalić, co to on wie - duży, w niebieskiej kopercie. Zza granicy. Potem usiadł na ławce koło przystanku PKS, przeczytał list, wrócił na pocztę i kupił kartę pocztową. I znów wyszedł. Widziałem, jak poszedł aleją do PGR.

Adamski udał się śladami Horoszki. Od Boreckiego dowiedział się tego samego, co przed południem Romaniak. W sumie dowiedział się - jego zdaniem - dwóch ciekawych szczegółów. Pierwszy to był Ust zza granicy, a drugi - Grochowiak, który otrzymał od Horoszki na ćwiartkę i wyjechał na urlop.

Przed wieczorem porucznik wrócił do Sieklic Leśnych. Teraz przedmiotem jego zainteresowania stał się stojący w kącie sekretarzyk.

Rozumował: Skoro Horoszko kilka dni przed śmiercią otrzymał list zza granicy, to powinien on się znajdować w sekretarzyku. Przejrzał dokładnie jego zawartość. Owszem, znalazł tam kilka listów z Wiednia, których nadawcą był Janusz Sieklicki. Korespondencja ta urwała się półtora roku temu. Listu, który Horoszko otrzymał kilka dni temu, Adamski nie znalazł. Nie znalazł również pieniędzy. A przecież musiał je mieć. Stara gospodyni twierdziła, że pan przechowywał pieniądze w sekretarzyku. Grochowiakowi dał na ćwiartkę. Potem chodził po zakupy. Trudno sobie wyobrazić, by wydał pieniądze do ostatniej złotówki.

Zapoznając się z zawartością sekretarzyka, Adamski doszedł do wniosku, że ktoś tu plądrował. Ktoś czegoś szukał. Czego? Pieniądzy? Owego ostatniego listu? Cóż on mógł zawierać?

Na sekretarzyku i na stole znaleziono wiele odcisków palców. Czy one należą wyłącznie do

Horoszki, czy jeszcze do kogoś - wykaże ekspertyza.

Ale na wyniki ekspertyzy, jak również sekcji zwłok, która miała wyjaśnić bezpośrednią przyczynę śmierci, trzeba było poczekać kilka dni. Nazajutrz Adamski poinformował telefonicznie Romaniaka o swoich ustaleniach.

- Jak tylko otrzymam ekspertyzę, natychmiast was powiadomię. Umożliwi to nam skierowanie śledztwa na właściwe tory.

- Rozumiem. Dziękuję i czekam na dalsze wiadomości.

Wiadomości nadeszły tym razem z Wrocławia. Telefonował Sobótka, który szukał tam Felusia Żłotej Rączki. Meldował on, że trafił na pewien ślad, który może zaprowadzić do odkrycia współników Piworskiego.

Był już wprawdzie późny wieczór, ale Miłosz nie namyślając się wsiadł do samochodu i ruszył w stronę Wrocławia. Przybył tam późną nocą. Przespawszy się w gościnnym pokoju, rano spotkał się z Sobótką. Feluś Żłota Rączka był dobrze znany wrocławskiej milicji. Zawodowy złodziej, wielokrotnie karany, wszechstronnie uzdolniony włamywacz i kieszonkowiec. Obracał się w podobnym do niego półświatku. Znajdował się też w kręgu podejrzanych o włamanie do muzeum. Zatrzymany, naturalnie do niczego się nie przyznał. Zwolniono go, ponieważ w muzeum nie znaleziono jego śladów linii papilarnych.

Przez dłuższy czas Feluś i jego środowisko było pod obserwacją MO. Nie naprowadziło to jednak na żaden ślad, aż tu kilka dni temu...

W jednym z dwusegmentowych domów na przedmieściu Wrocławia milicja wykryła nielegalną wytwórnę wyrobów z dzianiny. W piwnicach obu segmentów znajdowały się nowoczesne maszyny produkujące modne sweterki z kradzionej dzianiny. Do wyrobów przyszywano metki kradzione z państwowych fabryk. Milicja miała dom od dłuższego czasu pod ścisłą obserwacją. Zauważono wtedy, że w pobliżu kręci się Feluś Żłota Rączka. Początkowo przypuszczano, że jest on dostawcą metek. Okazało się jednak, że Feluś jest w kontakcie z właścicielem willi położonej po drugiej stronie ulicy. Zaintrygowany tym Miłosz pojechał z Sobótką na przedmieście, gdzie się znajdowała nielegalna wytwórnia. Milicjanci wynosili właśnie wyroby zalegające pokoje. W pobliżu gromadził się tłum ciekawskich. Po drugiej stronie ulicy stała w ogrodzie duża, dwupiętrowa willa, a raczej niewielki dom czynszowy. Wieżyczki, fantazyjne ozdóbki, wykusze i lodzie wskazywały, że dom ten został wzniesiony jeszcze przed pierwszą wojną i niewątpliwie stanowił własność kogoś bogatego. Robił on wrażenie dobrze utrzymanego, podobnie jak spory ogród.

- Kto jest właścicielem tej posesji? - zapytał Miłosz.

- Niejaki pan Mieczysław Nidecki.

- Mieczysław? Znów Mieczysław? Czyżby następny zbieg okoliczności?

- Właśnie to mi się też nasunęło. No i ta wizyta Felusia u Nideckiego.

- Czy Nidecki mieszka sam?

- Z żoną i gospodynią. Obecnie nigdzie nie pracuje. Kiedyś miał prywatną wytwórnię wyrobów metalowych. Kilka lat temu zlikwidował ją i żyje, jak to się mówi, z kapitałów.

- W jakim jest wieku?

- Pod siedemdziesiątkę.

Z domku wyniesiono ostatnie paczki ze sweterkami. Załadowany samochód odjechał w stronę miasta. Oficer kierujący akcją podszedł do Miłosza i Sobótki.

- Niewąska fabryczka - zauważył.

- Istotnie. A o właścicielu tej willi nic wam nie wiadomo? - zapytał Miłosz, wskazując dom Nideckiego.

- Prawie nic, ale jeden z wywiadowców meldował mi, że niedawno przyjechał tu biały fiat z rejestracją województwa warszawskiego.

- O, to bardzo ważne! A gdzie jest ów wywiadowca?

- W komendzie.

- Jedźmy tam!

Po półgodzinie znaleźli się w gmachu komendy MO. Wywiadowca potwierdził informację o białym fiacie. Numeru rejestracyjnego nie zapisał, ale ma zapisaną datę. Było to na dwa dni przed porwaniem samolotu. W samochodzie znajdowało się dwóch mężczyzn. Pojazd wjechał na teren posesji i co się dalej działo, nie wie. Nie wie również, kiedy samochód wyjechał. Jego zadaniem była obserwacja obu segmentów.

- To pójdziemy teraz do rady narodowej szukać śladów wytwórni pana Nideckiego.

Po godzinnych poszukiwaniach w archiwum PMRN znaleziono odpis zezwolenia udzielonego Mieczysławowi Nideckiemu na prowadzenie zakładu produkcyjnego metalowej galanterii. Siedziba zakładu mieściła się w willi Nideckiego. Koncesja zezwalała na zatrudnienie czterech robotników najemnych. Miłosza interesowało, na jakiej podstawie wydano to zezwolenie. Czy Nidecki ma wykształcenie techniczne, upoważniające do prowadzenia tego rodzaju wytwórni. W aktach sprawy nie było odpisu żadnego świadectwa, znajdowało się natomiast oświadczenie Nideckiego, że przed wojną przez wiele lat pracował w zakładach mechanicznych Rosenwertha koło Krakowa. Do oświadczenia tego było dołączone drugie oświadczenie Rosenwertha, stwierdzające, że Mieczysław Nidecki przez kilka lat pracował w jego zakładach, pełniąc funkcję kierownika jednego z działów produkcyjnych. Podpis Rosenwertha został potwierdzony przez polską placówkę dyplomatyczną w Wiedniu. Miłosz z emocji spocił się. Kolo zaczynało się zamykać. Nidecki kontaktował się z Puwalskim i znał Rosenwertha. To były naturalnie tylko podejrzenia, które należało zamienić w dowody. To już było zadaniem Miłosza. Jeżeli Nidecki przez kilka lat prowadził swój warsztat i

zatrudniał robotników najemnych, to niewątpliwie ślad tej działalności musiał pozostać w ZUS-ie. Tam też się udał Miłosz. Wyszukanie akt od lat nie Istniejącego zakładu, w dodatku nie znając jego konta, nie było proste. Obiecano postarać się wyszukać je do południa następnego dnia.

Wieczorem Miłosz jeszcze raz pojechał obejrzeć willę Nideckiego. Z wyjątkiem dwóch okien cały dom tonął w ciemnościach. Pomimo ciepłego wieczoru wszystkie okna były szczelnie zamknięte. Po drugiej stronie ulicy spacerował milicjant pilnujący segmentu ze zlikwidowaną wytwórnią. Miłosz podszedł do niego i wylegitymowawszy się zapytał, czy nie zauważył jakiegoś ruchu w willi Nideckiego. Milicjant zaprzeczył, ale na prośbę Miłosza obiecał poświęcić jej nieco uwagi.

Nazajutrz w południe pojechali we dwójkę do ZUS-u. Czekwały już na nich akta wytwórni M. Nideckiego. Z deklaracji wynikało, że pracodawca zatrudnia dwóch-czterech ludzi. Przy czym dwa nazwiska powtarzały się przez szereg lat. Jednym z nich był Aleksander Nowak. A Nowak to właściwe nazwisko Felusia Złotej Rączki. Nazwisko Nowak jest bardzo pospolite. Mógł więc to być jeszcze jeden zbieg okoliczności. Drugi pracownik nazywał się Hieronim Horowiec. Miłosz zapisał ich adresy i postanowił obu odwiedzić. Zaczął od Nowaka. Mieszkał on na przedmieściu zabudowanym długimi tasiemcami z szarymi, monotonnymi elewacjami. Odnalazł numer Nowaka. Nikt nie odpowiadał. Z sąsiedniego mieszkania wyjrzała starsza kobieta.

- Pan do kogo? - zapytała ciekawie.

- Do pana Nowaka.

- Już trzy lata, jak pan Nowak zmarł.

- Nie wiedziałem - bąknął Miłosz - a pani dobrze go znała?

- Dobrze. Przez dziesięć lat sąsiadowaliśmy.

- A syna pana Nowaka znała pani?

- Felusia? No jakżeby nie. Ale tak naprawdę to powiem panu, że przez niego zmarł stary Nowak. Bo syn mu się nie udał. Co wyszedł z kryminału, to go z powrotem zamykali. Stary umarł ze zgrzyoty. A jaką ma pan sprawę do Nowaka? - zaciekała się sąsiadka.

- Mało ważne. To dziękuję pani. Do widzenia.

Zeszli na ulicę.

- Jedziemy wobec tego do Horowca. Może tam dowiemy się więcej.

Fakt, że Feluś Złota Rączko był synem Nowaka, a Nowak pracował u Nideckiego, wiele mówił. Horowiec mieszkał w starej kamienicy w pobliżu dworca. Po zlikwidowaniu zakładu Nideckiego pracował w Pafawagu, a obecnie jest już na rencie. Chętnie opowiadał o Nideckim i jego wytwórni.

- To był porządny szef. Dobrze płacił, nie można narzekać. Sam dobrze zarabiał i innym też dał zarobić.

- A co wyście tam produkowali?

- Drobną, galanterię. Spinacze, zszywki. Ale to wiele nie dawało. Najwięcej zarabiał na drucianych zmywakach. Produkował je na automatach sprowadzonych zza granicy. Taki zmywak kosztował dziesięć groszy, a sprzedawał go za złotówkę. Szły jak woda. Były tylko trudności z drutem. Musiał być odpowiedniej grubości i sprężystości, nie zawsze można było taki dostać.

- I co wtedy?

- Jakoś tam zawsze Nidecki wykombinował. Ale czasem to i przestoje były.

- A Nowaka pan znalazł?

- Znałem. Razem robiliśmy na automatach. Jak było dużo drutu, to Nidecki brał do pomocy dwóch chłopaków i oni wykańczali zmywaki.

- Rozumiem. A syna Nowaka, Felusia, też pan znalazł?

Stary nieco się zmieszał, wyraźnie nie chciał na ten temat mówić.

- Znałem go. Wtedy to był jeszcze młody chłopak. Różnie ludzie o nim mówią. Pan pewnie sam wie.

Miłosz wiedział. Po powrocie do komendy przejrzał dossier Felusia. Znalazł tam to, czego się spodziewał. W jednej ze swych spraw Feluś był zamieszany w kradzież drutu. Komu drut upłynął, nie wyśpiewał. Odsiedział wyrok i gdy wyszedł z więzienia, Nidecki już nie prowadził wytwórni. Z czego żyje od likwidacji zakładu Nidecki, to też właściwie nie wiadomo. Mógł wprawdzie wyprodukować znaczną ilość zmywaków i mieć z tego tytułu kilkaset tysięcy złotych, ale czy to by mu wystarczyło? Stwierdzono, że od kilku lat żyje bardzo skromnie. Pracuje społecznie w komitecie blokowym. Tytułują go panem inżynierem i jest uważany za rencistę.

Miłosz postanowił doprowadzić do konfrontacji z kelnerkami z „Yellow House”. Porozumiał się z Warszawą i polecił Romaniakowi sprowadzić obie kelnerki do Wrocławia.

- A co słychać w Sieklicach?

- Nic nowego. Komenda powiatowa prowadzi śledztwo, ale nie wpadła na ślad mordercy.

- No dobrze. Jak ustalimy kontakty Nideckiego z Puwalskim, pojedziemy w teren. Na razie czekam na was we Wrocławiu.

Nideckiego i Felusia wzięto pod obserwację. Ten ostatni zaczął pracować w bazie remontowej jednej z przedsiębiorstw budowlanych i cieszył się tam opinią dobrego ślusarza.

W dniu, w którym Romaniak anonsował przyjazd obu kelnerek, Nideckiego zaproszono do komendy pod pretekstem przesłuchania go w związku z wykryciem nielegalnej wytwórni swetrów. Nidecki robił bardzo korzystne wrażenie. Starszy, postawny, siwy pan o nienagannych manierach. W

czasie rozmowy z oficerem milicji posadzono go tak, aby obie kelnerki widziały go przez uchylone drzwi. Na pytanie oficera, czy nigdy nie widział nic podejrzanego u swych sąsiadów z przeciwka - Nidecki zaprzeczył.

- Nic nie widziałem. Wykrycie wytwórni zaskoczyło mnie. O obu kombinatorach słyszałem, że są pracownikami jakiejś instytucji. Jak to pozory potrafią mylić.

- Tak, to się często zdarza - potwierdził oficer. - A samochodów przywożących kradziony surowiec też pan nie widział?

- Czasem tam jakieś pojazdy zjawiały się. Ale nie miało to charakteru masowego.

Oficer zadał jeszcze kilka zdawkowych pytań i podziękował Nideckiemu za informacje.

Obie kelnerki z całą stanowczością stwierdziły, że jest to ów pan Miecio odwiedzający Puwalskiego.

Nie były to jeszcze stuprocentowe dowody, ale bardzo mocne poszlaki, Nidecki był w kontakcie z Puwalskim, znał Rosenwertha i Felusia Złotą Rączkę. Miłosz był przekonany, że poszlaki te doprowadzą do rozwikłania zagadki: kto wchodził w skład gangu, kto dokonał włamania do muzeum i kto leciał porwanym samolotem.

Po krótkiej naradzie postanowiono, że Miłosz wróci do Warszawy, gdzie przesłucha dokładnie zatrzymanych pracowników Puwalskiego, a Sobótka zostanie we Wrocławiu.

- Obserwować nieustannie Nideckiego, na pewno naprowadzi on na dalsze ślady, mieć na oku Balcerka i środowisko Kędziorka - przypominał Miłosz Sobótce.

Zdążył na ostatni samolot i wieczorem był już w Warszawie.

Szatniarz-ekonomista z „Yellow House” nazywał się Stanisław Szkudlarek, a przyjaciółka Puwalskiego - Stefania Pałka. W powodzi błyskawicznie rozgrywających się wypadków Miłosz nie miał czasu zająć się tą parą. Teraz po ustaleniu, że Nidecki był znajomym Puwalskiego, nadszedł czas, by ich dokładnie przesłuchać. Na pierwszy ogień kapitan wziął Stefanię Pałkę. Pobyt w areszcie i wiadomość o śmierci przyjaciela załamały ją. Postarzała się i już nie przypominała energicznej, fertycznej bufetowej z „Yellow House”.

Początkowo wszystkiemu zaprzeczała i niczego nie pamiętała. Stopniowo jednak zaczęła wracać jej pamięć.

- Nie ma pani powodu nic ukrywać - tłumaczył Miłosz - pani przyjaciel, Puwalski, nic żyje. Nic mu się nie zrobi. Po co ukrywać jego współników? W ten sposób pani sama siebie obciąża. A pani zna przecież całą prawdę.

- Owszem, żyłam z Romkiem, ale to nie znaczy, by on się przede mną spowiadał. Wielu rzeczy mi nic mówił. Byłam jego przyjaciółką, ale tylko od łóżka.

- Dobrze, to niech pani mówi, co pani wie. Znała pani niejakiego Nideckiego.

- Tak.

- To jest ten pan Miecio?

- Tak.

- Co ich łączyło?

- Interesy. Kiedyś mi Romek opowiedział, jak to było. Zaraz po wojnie Romek pracował w jakiejś centrali i pomagał Nideckiemu w załatwianiu przydziałów na wyroby, które Nidecki produkował. Nidecki dobrze na tym zarabiał i miał forsy jak lodu. Wtedy zaproponował Romanowi interes. Romek miał po rodzicach ten kawałek ziemi i rozpadający się domek. Nidecki dał pieniądze na remont domku, przebudowę, na restaurację i wyposażył go. Ale to wszystko było na nazwisko Romka. Dochodami mieli się dzielić pół na pół.

To by się zgadzało i trzymało kupy - pomyślał Miłosz, głośno zaś zapytał. - A kim jest Szkudlarek? Tylko niech pani nie mówi, że jest szatniarzem. O tym wiemy. Chodzi nam o jego właściwą rolę w lokalu pana Puwalskiego.

Pałka na chwilę zawahała się, jakby się zastanawiając, czy mówić prawdę. Wreszcie zdecydowała się.

- Stanowisko szatniarza jest lipne. On był współnikiem Romka.

- Wspólnikiem czego? Czy „Yellow House” rzeczywiście dawał tak duże dochody, że mogli z niego żyć trzej współnicy?

- Lokal to mało dawał. Ale przecież pan wie, że oni handlowali złotem i walutami. Widział pan. Szkudlarek był złym duchem Romka.

- Kiedy i gdzie poznała pani Puwalskiego?

- Było to trzy lata temu. Pracowałam w koktajlbarze w Grandzie. Kiedyś Puwalski po prostu mnie poderwał, a potem zaproponował u siebie pracę. Zostałam tam.

- Czy Szkudlarek już pracował?

- Tak. On bardzo niechętnie odnosił się do mnie.

- A czy pani wiedziała o schowku pod garderobą?

- Nie. Wiedziałam, że gdzieś w willi jest schowek. Ale gdzie, nie wiedziałam.

Schowek został wykonany w czasie przebudowy willi. Szkudlarek pilnował go niczym pies łańcuchowy.

- Czy Puwalski często wyjeżdżał z Warszawy?
- Kilka razy miesięcznie. Przeważnie swoim samochodem.
- A o jego ostatniej podróży, z której już nie wrócił, wiedziała pani?
- Tak. Mówił, że jedzie do Wrocławia do pana Miecia.

- A czy ktoś przed wyjazdem był u Puwalskiego?

- Owszem. Pamiętam, że dwa lub trzy dni przedtem odwiedził go ten Żyd austriacki, Rosenwerth. Siedzieli ze dwie godziny na górze, gdy ja byłam w barze. Romek odwiózł go do Warszawy i wieczorem wrócił.

- Czy Rosenwerth często odwiedzał Puwalskiego?

- Kilka razy w ciągu roku.

- A co ich łączyło?

- Handel. Na pewno Rosenwerth wywoził do Wiednia różne kosztowności.

Babka rozgadała się na całego.

- Jeszcze jedno pytanie. Czy Puwalski prowadził jakąś korespondencję?

- Nie. Wiem, że listy kierował na poste restante,

To by się też zgadzało. Nie znaleziono u niego żadnej korespondencji. Niewątpliwie zacierał starannie wszystkie ślady swej przestępczej działalności.

- No, a teraz ostatnie pytanie. Czy znała pani niejakiego Konikowskiego, malarza, konserwatora zabytków?

- Nie - zaprzeczyła stanowczo.

- To dziękuję pani.

Przyprowadzono Szkudlarka. Ten był naturalnie znacznie twardszy i do niczego się nie przyznawał.

Miłosz zastosował tę samą metodę, tłumacząc, że Puwalski nie żyje i nie ma kogo bronić. Nie zeznając prawdy niepotrzebnie obciąża siebie. Szkudlarek w dalszym ciągu wszystkiego się wypierał. Był szatniarzem i koniec. Nie miał pojęcia, co się znajdowało pod szatnią. Gdy kończył pracę, wracał do Warszawy, gdzie mieszkał. Pewnie wtedy Puwalski z tą lafiryndą otwierali schowek. A teraz ona wszystko zwała na niego, niewinnego człowieka.

W pewnym momencie Miłosz doszedł do wniosku, że Szkudlarek nie wierzy w śmierć Puwalskiego, uważając, że jest to chwyt. Pokazał więc Szkudlarkowi akt zgonu Puwalskiego. Dokument ten zrobił na nim wrażenie. Zaczął się wahać i powoli łamać. Tak, wiedział i słyszał, że Puwalski handluje złotem i dewizami. Pomagał otwierać schowek. Ale nie był jego współnikiem. Była nią natomiast Pałka, kłamie, że nic nie wiedziała. To ona właśnie wiedziała, a on nie. Nie potrafił jednak wytłumaczyć, dlaczego mając średnie wykształcenie ekonomiczne przyjął pracę szatniarza w drugorzędnym lokaliku.

- A niech pan wobec tego powie, czy znał pan niejakiego pana Miecia, który odwiedzał Puwalskiego?

- Pana Miecia? Pana Miecia? A tak, przypominam sobie. Skądś ten pan przyjeżdżał. Ale skąd nie wiem.

- A może z Wrocławia? - przypomniał Miłosz.

Szkudlarek zmieszał się. Na czoło wystąpił mu pot.

- Może z Wrocławia, nie wiem. Różni ludzie przychodzili do Puwalskiego.

- A może pan kogoś z nich znał?

- Nie. Nie, raczej nie.

- A niejakiego Rosenwertha z Wiednia nie znał pan przypadkowo?

- Nie przypominam sobie.

- To ja panu przypomnę. Rosenwerth był tu po śmierci Puwalskiego. Kto z nim rozmawiał? Pan?

- Nie wiem.

- Mało tego. W czasie rewizji był od niego telefon. Pan na moje polecenie podniósł słuchawkę. Rosenwerth pytał się o Romka. I co pan na to?

Po godzinie przyznał się, że zna Rosenwertha. Ale nie ma nic wspólnego z kradzieżą w muzeum. Nigdy nie słyszał o Konikowskim. Nigdy też nie widział złotego krzyża wysadzanego kamieniami.

Miłosz miał już sprecyzowany pogląd na wypadki. Włamania do muzeum dokonali Puwalski, Feluś i Szkudlarek. Opinia kryminologów stwierdziła, że włamania dokonało trzech osobników. Nidecki ze względu na wiek udziału nie brał, ale on był szefem. I on też przechowywał skradzione skarby. O sprzedaniu skarbów w kraju nie mogło być mowy. Należało wywieźć je za granicę. Do Wiednia, do Rosenwertha. Możliwe, że Rosenwerth stoi na czele międzynarodowego gangu złodziei dzieł sztuki. Tym jednak zajmie się już „Interpol”. Ponieważ granica była obstawiona, wywiezienie dzieł sztuki nie było proste. Okazja więc albo sama się nawinęła via Feluś - Kędziorek, albo też Nidecki namówił Piworskiego do porwania samolotu. To też wyjaśni śledztwo. Konikowski z krzyżem i częścią skradzionych dzieł sztuki pojechał do Wrocławia, wykupił bilet na samolot do

Warszawy, licząc, że wyląduje on w Wiedniu. Dzięki zdecydowanej postawie załogi porwanie nie udało się. W czasie paniki zapomniał ze strachu o torbie. Potem bał się przyznać. Z Berlina Konikowski wrócił do Warszawy, omijając jednak swoje mieszkanie, a potem gdzieś uciekł. Nidecki, zaniepokojony nieudaną próbą porwania samolotu, polecił Puwalskiemu, aby zabrał do siebie, do pewnej skrytki, resztę skarbu. Puwalski zabił się w drodze powrotnej.

Co jednak w tym czasie porabiał Rosenwerth? Gdzie przebywał po wyjeździe z Warszawy? Może organizował następny skok? Zorientowawszy się, że jest źle, wyjechał z Polski.

Ale gdzie jest Konikowski? Uciekł z Okęcia, to pewne, i boi się pokazać. Ma ku temu powody. Ostatecznie wszystko wskazuje na to, że to on ukradł romański krzyż i że usiłował wywieźć go za granicę. Nidecki mógł tego nie wiedzieć. Ale na pewno wiedział o tym Puwalski. Wiadomość o zamierzonym porwaniu samolotu szła via Feluś Żłota Rączka - Nidecki.

A może Konikowski ukrył się w willi Nideckiego? Może z Warszawy wrócił do Wrocławia pociągiem?

Porozumiał się telefonicznie z Sobótką polecając mu przeprowadzić rewizję u Nideckiego. Nie spodziewał się, że znajdzie tam coś rewelacyjnego. Pewne było, że Nidecki po wysłaniu skarbów do Warszawy „wyczyścił” willę. Miłosz liczył jednak, że może znajdzie tam jakieś ślady.

W toku błyskawicznie rozwijających się wypadków sprawa śmierci Horoszki zeszła na drugi plan. Nie zapomniał jednak o niej Adamski. Dwa razy już telefonował do kapitana, że zostały opracowane ekspertyzy, a on w czasie śledztwa odkrył kilka ciekawych rzeczy.

- Czy mam w tej sprawie przyjechać do Warszawy? - dopytywał się.

- Nie. Jutro przyjadę z Romaniakiem do Sieklic Dużych. Będziemy tam o godzinie ósmej. Gdzie proponujecie spotkanie?

- Przed pocztą na placu miejskim.

- Dobrze. Cześć! Do jutra.

Po drodze zatrzymali się w Zadroniu zabierając ze sobą komendanta posterunku. Miłosz przewidywał, że może się on przydać.

- Ludzie tu na ogół spokojni - relacjonował komendant w czasie drogi - gdyby nie ci nowi pracownicy PGR, nie byłoby co tu robić.

- To do gospodarstw przyjęto samych chuliganów? - dopytywał się Miłosz.

- Co to, to nie. Ale jak gdzieś się tylko pobiją na zabawie, to murowane, że to chłopaki z PGR.

- A traktorzystę Grochowiaka znacie? - zapytał Romaniak.

- Pewnie, że znam. Stawał kilka razy na kolegium.

- A ruch samochodowy jak się u was przedstawia?

- Jaki tam ruch. Trzy razy dziennie jeździ pekaes, kilka razy samochody pezetgieesu i pocztowy.

- A turyści tu się nie zjawiają?

- Owszem, jesienią przyjeżdżają na grzyby.

Dojechali do Sieklic Dużych. Dochodziła godzina ósma. Adamski już czekał. Przed pocztą stał biały fiat z dużymi niebieskimi literami MO na bokach.

- Od czego więc zaczynamy, poruczniku? - zapytał Miłosz.

- Jak zwykle od początku. Stwierdziłem, że trzy dni przed śmiercią, tj. w środę, Horoszko był rano w Sieklicach Dużych. Poszedł na pocztę, gdzie mu doręczono list zza granicy. Wyszedł, znów wrócił i kupił kartkę pocztową.

- I co dalej? - zapytał zaciekawiony Romaniak.

- Następnie poszedł do PGR.

Tu Adamski powtórzył relację Boreckiego znaną już Romaniakowi. Romaniaka zainteresowała zakupiona na poczcie kartka. Czyżby to była ta sama, która znajdowała się w jego teczce?-

- Skąd się wzięła ta kartka? - dopytywał się zaciekawiony Adamski.

- Napisał ją Horoszko, a ktoś wrzucił ją do skrzynki w Warszawie.

- A co stało się z owym listem zza granicy? - zapytał Miłosz.

- Nie wiadomo. Przeszukałem całe mieszkanie Horoszki i nigdzie go nie znalazłem. W sekretarzyku leżało kilka listów zagranicznych. Nadawał je z Wiednia niejaki Janusz Sieklicki, jest to syn...

- Tak, o tym wiemy. Poruczniku, czy zainteresowaliście się osobą owego Grochowiaka?

- Naturalnie. Stwierdziłem, że w środę w południe wyjechał na wczasy. Skontaktowałem się z milicją dolnośląską i stwierdzono, że Grochowiak istotnie przebywa w domu FWP. Ale - co najciekawsze - ma kupę forsy i rzuca nią na prawo i lewo.

- O, to bardzo ważne! A czy stwierdziliście, kiedy naprawdę Grochowiak przyjechał do domu wczasowego?

- Oczywiście, jakżebym mógł tego nie zrobić. Grochowiak zgłosił się tam w czwartek rano.

- Z tego widać, poruczniku, żeście się zabrali energicznie do rzeczy. Dziękuję wam.

- Tak jest. Poza tym mam ciekawą i ważną opinię grupy dochodzeniowej.
- Jedźmy wobec tego do Sieklic Leśnych. Zapoznamy się z nią na miejscu.

W milczeniu zajechali przed dworek. Miłosz z zaciekawieniem obejrzał siedzibę Sieklickich-kalwinów, zajrzał na podwórze pytając, czy leżący tam pień drzewa, to właśnie ten przyholowany przez Grochowiaka.

- Dokąd prowadzi droga, którą przyjechaliśmy?
- Przez las do miejscowości Zagórze, należącej do innej gminy.
- A czy do Zagórze prowadzi szosa?
- Nie. Do najbliższej szosy jest pięć kilometrów.
- Czyli łączność Sieklic Leśnych ze światem odbywa się przez Sieklice Duże?
- Tak.
- A kto gospodaruje po śmierci Horoszki w Sieklicach Leśnych?
- Prezydium Powiatowej Rady Narodowej poleciło, aby ziemię przejął PGR Sieklice Duże. Nie może ona leżeć odłogiem, bądź co bądź jest dwadzieścia hektarów.

- Rozumiem. Wejźmy do środka dworku. Poruczniku, macie klucze?
- Tak.

Weszli do pokoju, w którym zmarł Horoszko.

- Ekspertyza lekarska stwierdziła - informował Adamski - że śmierć nastąpiła wskutek leku nasercowego. Jakiego? Pozwólcie, kapitanie, do przedsionka.

Stała tu spora, biała szafa, Adamski otworzył ją i obecni ujrzeli dziesiątki czy też może nawet setki buteleczek, fiolek, torebek, pudełek i pudełeczek różnej wielkości.

- Cała apteka - stwierdził Romaniak.
- Tak - zgodził się Adamski - ale proszę zwrócić uwagę na tę półkę.
- Nic tu nie widzę nadzwyczajnego. Taki sam zbiór leków.

- Niezupełnie. Proszę, o tu stoi buteleczka z napisem „Kardiogal”. Produkcja austriacko. Napis wyjaśnia, że należy stosować tylko z przepisu lekarza. A oto dodatkowa ekspertyza. Dwie lub trzy pastylki kardiogalu mogły się stać przyczyną śmierci Horoszki.

W milczeniu przyglądano się zielonej buteleczce. Z ekspertyzy wynikało, że musiał to być

bardzo silny środek i że zażywać się go powinno ostrożnie, w niewielkich dawkach.

- Czy ta buteleczka stała na stole, czy w szafce?

- W szafce.

Miłosz uważnie przeczytał przepis: „Stosować najlepiej w małej ilości wody lub mleka”.

- Czy w resztkach mleka znajdującego się w kubku stwierdzono obecność kardiogalu?

- Nie.

Wrócili do pokoju.

- W sekretarzyku nie znalazłem ani listu zza granicy, ani pieniędzy. Wszystko jednak wskazuje, że ktoś tam plądrował szukając czegoś. Czego? Możliwe, że listu lub pieniędzy.

- Kto to mógł być?

- A może Konikowski? - rzucił myśl Romaniak.

- Konikowski? Ten malarz? - zapytał komendant MO z Zadronia - nikt go nie widział tu od kilku miesięcy.

- Kto to jest Konikowski? I co robi? - dopytywał się zdziwiony Adamski.

- Zaraz wyjaśnię. Ale jeszcze chciałbym porozmawiać z gospodynią.

Adamski przyprowadził staruszkę.

- Czy pan Horoszko zawsze pijał mleko z kubka?

- A tak, zawsze.

- A ile macie tych kubków?

- Były cztery, ale jeden niedawno zaginął.

- Aha! No trudno. Wobec tego chodźmy teraz do kaplicy. Gdzie jest klucz?

- Tu, na kołku - Adamski zdjął duży, kuty, stary klucz.

Ruszyli przez ogród w stronę kaplicy.

- Pytaliście się, poruczniku, o Konikowskiego. Zanim powiem wam, kim on był i jaką tu mógł odegrać rolę, odpowiedzcie mi na pytanie, czy słyszeliście coś o złotym romańskim krzyżu?

- Słyszałem o tym. Ludzie bajają również o skarbach Horoszki.

- Jeżeli chodzi o krzyż, to nie legenda i ludzkie bajanie. Krzyż istnieje i był wiele lat przechowywany w kaplicy. Niedawno zniknął. Mamy podejrzenie, że ukradł go konserwator, malarz Konikowski.

Zbliżyli się do kaplicy. Kapitan obszedł wokół budynku, po czym wszedł do środka. Tu Miłosz obejrzał sarkofag, ołtarz i freski na ścianach. Z prawej strony kaplicy ledwo się rysowały na tle białej farby, po drugiej stronie były świeże.

- Te odnawiał Konikowski - wyjaśnił Romaniak.

Wyglądało tak, że jakby w połowie roboty przerwał ją. Kapitan zainteresował się sarkofagiem.

- Schowek jest tu - powiedział Romaniak wskazując na lewego amorka.

Schowek, o którym wiedziało do niedawna trzech ludzi: Horoszko, Konikowski i Janusz Sieklicki zamieszkały w Wiedniu. Jeden z nich wyjął z ukrycia złoty krzyż. Chyba że tajemnicę schowka odkrył ktoś czwarty.

Miłosza mniej interesował schowek, a bardziej płyta sarkofagu. Przyglądał się jej uważnie ze wszystkich stron.

- Kiedy ostatni raz otwierano grobowiec?

- Przepuszczalnie w sierpniu 1939 r.

- Wątpię. Wydaje mi się, że płytę odsuwano stosunkowo niedawno. Popatrzcie, są tu ślady, które pozostawiła przesuwana płyta. We wgłębieniach widnieje nadłupany piaskowiec.

- Któż to mógł robić?

- Odsuńmy płytę, może rozwiążemy tajemnicę.

Romaniak przyniósł z zakrystii stalowy łom, którego Horoszko używał do otwierania schowka. Miłosz jednak sprzeciwił się.

- Odłóżcie, poruczniku, łom, może znajdzie się inne narzędzie.

Romaniak przyniósł kilof i zaczęto nim odsuwać dużą, piaskowcową płytę sarkofagu. Z piwnicy powiało odorem rozkładającego się ciała. Odsunęli płytę na szerokość pół metra. Miłosz pochylił się i zajrzał do wnętrza.

- Na jednej z trumien leżą zwłoki mężczyzny - stwierdził.

- Przyniosę drabinkę - zaofiarował się kierowca samochodu - stoi koło ganku, i wezmę latarkę.

Było to niewątpliwie morderstwo i musiało mieć jakiś związek ze śmiercią Horoszki. Może czegoś się o tym dowiedział i stąd jego tajemnicza kartka do Romaniaka,

Po kilku minutach kierowca z milicjantem zjawili się z drabinką. Opuszczono ją w dół. Pierwszy zszedł Miłosz, za nim milicjant z Zadronia. Po chwili usłyszeli przytłumiony głos kapitana.

- To Konikowski.

- Na pewno? - dopytywał się Romaniak.

- Nie ma wątpliwości, poznaję go z fotografii, również i komendant posterunku z Zadronia nie ma wątpliwości.

Miłosz wydostał się na górę.

- No cóż, poruczniku Adamski, czeka was nowa robota. I to chyba bardziej skomplikowana. Ściągnijcie ekipę dochodzeniową i bierzcie się do pracy. A łomu nie ruszajcie. Mogą na nim być odciski palców mordercy.

Nowo odkryte morderstwo jeszcze bardziej gmatwało i tak niejasną sytuację.

Pobieżne oględziny zwłok Konikowskiego mówiły, że został zabity co najmniej dwa miesiące temu. Nie on więc ukradł romański krzyż i nie on usiłował go wywieźć samolotem SP-LTF za granicę. Wobec tego kto? Kto zabił Konikowskiego i Horoszkę? Miłosz liczył, że na łomie znajdują się ślady linii papilarnych mordercy i one coś wyjaśnią. Horoszko - jak twierdził - tajemnicę krzyża zdradził Konikowskiemu w wielkim zaufaniu. Konikowski nie okazał się zbyt dyskretny. O krzyżu opowiedział Boreckiemu, a może i innym osobom. Niewątpliwie musiał w to być wmieszany i Puwalski. Ale on nie żyje. A Grochowiak?

Wrócili do dworku. Stojąc przed samochodem Miłosz monologował:

- Jedno jest pewne. Wieczorem ktoś odwiedził Horoszkę. Ten ktoś mógł wrzucić do kubka Horoszki dwie lub trzy pastylki kardiogalu. Ale mógł też zastać Horoszkę martwego. Potem szukał listu w sekretarzyku. Pewnie go znalazł. Przy okazji zabrał pieniądze. Albo chciał upozorować morderstwo rabunkiem, albo po prostu pieniądze były mu potrzebne. Nie wiadomo, ile stary mógł ich mieć. Czy to był ten osobnik, który zamordował poprzednio Konikowskiego? Nie można tego wykluczyć. I jeszcze jeden szczegół należy ustalić, poruczniku. Sprawdzić, co się stało z czwartym kubkiem, o którym wspominała gospodyni.

Nakaz przeprowadzenia rewizji Nidecki przyjął spokojnie. Jeżeli nawet denerwował się, to doskonale umiał to ukryć.

- Proszę uprzejmie, nie mam wątpliwości, że to pomyłka, która szybko się wyjaśni.

- Willa była duża. Miała pełno przeróżnych komórek i pokoików. Łatwo tu było porobić różne schowki i skrytki. Sobótka nic wątpił, że są one puste.

Zaczęli od piwnic. Panował tu ład i porządek. Jedno z pomieszczeń zostało adaptowane na garaż.

- Kiedy pan budował garaż?

- Cztery lata temu.

- Ma pan samochód?

- Miałem w swoim czasie. Potem sprzedałem, to za poważne obciążenie dla emeryta.

- I od tego czasu nie garażowały tu samochody?

- Nie.

- A może ktoś przyjeżdżał do pana i trzymał tu swój samochód? - zapytał Sobótka przyglądając się niewielkiej plamie oleju.

- Nie. Nikogo tu nie było.

Jeden z milicjantów również zauważył plamę i schylił się, aby wziąć próbkę.

- Ach, to jeszcze ślad po moim warsztacie.

- Warsztat zlikwidował pan, o ile mi wiadomo, przed budową garażu, sześć lat temu.

- Ale plama na podłożu mogła zostać.

- Zbadamy. Pański warsztat zajmował całą powierzchnię?

- Tak.

Obejrzeni ją dokładnie, Nie było tu nic ciekawego. Poszli na parter. Główne wejście do willi prowadziło z niewielkiego tarasu do obszernego hallu. Pod ścianami stało kilka wbudowanych w ścianę dużych, drewnianych wieszaków. Takich, jakich dziś się nie produkuje. Na dole miały one półeczki na obuwie, a obok mosiężne koła na parasole i laski. Wywiadowca z ekipy dochodzeniowej obejrzał dokładnie laski, a następnie parasol. Był to staroświecki model, dziś już nieprodukowany. Przejrzeli cały parter i piętro. Zgodnie z przewidywaniami nic tu nie znaleźli. Ale wywiadowca nie dawał za wygraną. Szukał czegoś ściśle określonego. Obejrzał łazienki, wucety, kuchnię, zajrzał do spiżarni. Znajdowało się tu nieco zapasów żywnościowych. Na dolnej półce stała skrzynka z podręcznymi narzędziami. Młotki, obcęgi, śrubokręty i kilka piłek. Wywiadowca obejrzał przedmioty, po czym zwrócił się do Sobótki.

- Wyjdźmy na chwilę.

Opuścili kuchnię, zostawiając w niej Nideckiego. Przeszli do jadalni umeblowanej dębowymi ciężkimi meblami.

- Mamy - skonstatował krótko wywiadowca.

- Co?

- Dowody, że Nidecki był wmieszany w kradzież skarbów muzealnych.

- Zamieniam się w słuch.

- Stwierdzono, że włamanie do muzeum nastąpiło w sposób stosowany w przedwojennym świecie włamywaczy na tzw. „parasol”. Włamywacze z sąsiedniego budynku dostali się na dach muzeum, dalej przez włącz na strych. W starym muzealnym budynku stropy były drewniane, co umożliwiło zastosowanie „parasola”. W drewnianym stropie wykonuje się świdrem niewielki otwór, przez który przepycha się zamknięty parasol. Następnie parasol otwiera się. Po czym cienką piłką, tzw. lisiakiem, wycina się w stropie otwór. Wycięte kawałki stropu wpadają do otworzonego parasola, co nie powoduje hałasu. Po wycięciu całego otworu włamywacz wyjmuje z parasola kawałki stropu, a potem zamyka parasol wyjmując go z otworu. Pozostaje tylko zejść na dół. W tym wypadku posłużyła do tego lina zaczepiona o krokiew dachową. Liny nigdzie nie znaleziono, ale nie mam wątpliwości, że parasol stojący w hallu był używany podczas włamania. Zauważyłem na nim ślady wskazujące, że był przepychany przez wąski otwór. Niewątpliwie potwierdzą to szczegółowe badania. Strop natomiast wycięto za pomocą piłki znajdującej się w spiżarni. To też potwierdzą szczegółowe badania laboratoryjne. Kawałki stropu są u nas odpowiednio zabezpieczone.

- Wiem o tym, jak również znam opis włamania na „parasol”. Twierdzicie więc, że do tego służył parasol stojący w hallu, a dokonał go...

- Feluś Złota Rączka - przerwał milicjant. - Musiał to robić fachowiec. Feluś na swym koncie ma niejedno włamanie, a przebywając w więzieniu nauczył się od starszych kolegów metody „parasola”.

- Tak. Zgadzam się z tym. On robił strop, pomagał mu Szkudlarek, a ubezpieczał prawdopodobnie Puwalski. Wobec tego nie zostaje nam nic innego, jak zabrać ze sobą oba przedmioty i wraz z panem Nideckim udać się na komendę.

Poproszono Nideckiego i razem udano się do spiżarki.

- Czy to pańska skrzynka z narzędziami?

- Moja - nie zaprzeczył Nidecki.

- A ta piłka? Na pewno jest pana własnością? - dopytywał się milicjant wskazując na lisiak.

- Na pewno moja.

Potem zeszli na dół zatrzymując się przed stojakiem na parasole.

- A ten stary parasol też należy do pana?

- Tak - odpowiedział Nidecki jakby z pewnym niepokojem w głosie.

- Oba te przedmioty musimy zatrzymać. Spiszemy w tej sprawie protokół,

- Jeżeli panów interesują stare parasole, to proszę bardzo.

- Nie tylko parasole. Interesują nas również inne sprawy i dlatego poprosimy pana na komendę.

W komendzie Nidecki udawał, że jest pewny siebie, ale widać było, że jest zdenerwowany. Sobótka zwlekał czekając na wynik oględzin parasola i piłki. Wreszcie zapytał:

- Czy zna pan niejakiego Romualda Puwalskiego?

Nideckiego pytanie to zaskoczyło. Zawahał się, ale po chwili odpowiedział pewnie.

- Nie. Nie znam.

- Niech pan sobie dobrze przypomni. Romuald Puwalski. Właściciel restauracji „Yellow House” pod Otwockiem.

- Nie. Na pewno nie znam.

- To dziwne. Kilka osób stwierdziło, że pan bywał w „Yellow House” i kontaktował się z Puwalskim.

- Bywało się w wielu restauracjach. Ale nie znam żadnego z właścicieli.

- Restauracja ta odgrywała podwójną rolę. Była ona meliną handlu złotem, dewizami i czegoś jeszcze.

- No wie pan! A cóż ja mam z tym wspólnego?

W tym momencie wszedł milicjant kładąc przed Sobótką kartkę: *Parasol i piłkę zbadano. Były używane do włamania w muzeum* - przeczytał.

- Coś pan z tym musiał mieć wspólnego. Podejrzewamy pana bowiem o udział we włamaniu do muzeum.

Przez godzinę zapierał się wszystkiego. Nic o tym nie wie, jakim prawem go się podejrzewa itp. W tym czasie przywieziono Felusia Złotą Rączkę. Sobótka zostawił Nideckiego pod opieką milicjanta, a sam udał się do sąsiedniego pokoju.

- No cóż, Feluś Złota Rączka, przyznajesz się? - zapytał na powitanie.

- Panie kapitanie, jak pragnę szczęścia, do czego mam się przyznać? Kiedyś miałem grzechy na sumieniu. Ale teraz uczciwie pracuję. Nic złego nie zrobiłem.

- Właśnie chodzi o stare grzechy. Konkretnie o wasz udział we włamaniu do muzeum. Nie macie co ukrywać. Mamy dowody.

Feluś, stary kryminalny wyga, pojął, że wpadł. Nic go już nie uratuje. Pozostało jedno, przyznać się do wszystkiego i sypanąć współników. Szczere przyznanie może zmniejszyć jego winę. Zaczął więc sypać.

Nideckiego znał z czasów, gdy ten prowadził warsztat. Dostarczał mu kradziony drut. Wiosną tego roku Nidecki zaproponował mu skok na muzeum. Feluś opracował technikę „parasola”, o której opowiadał mu w więzieniu stary, przedwojenny złodziej. Spotkał się w tym czasie „z tym gówniarzem Kędziorkiem”, który zwierzył mu się przy setce, że szykują się z jednym inżynierem do porwania samolotu. Powiedział o tym Nideckiemu. Ten się zapalił do pomysłu i podsunął myśl, by skierować go do Rosenwertha.

Wyprawa do muzeum odbyła się tak, jak odtworzyła ją milicja. Był ostrożny i pracował w rękawiczkach. Co się potem działo, nie wie. Nidecki to świnią. Nie dał mu obiecanej doli, a gdy upomniał się w zeszłym tygodniu, to dał mu na odczepne patyka i powiedział, by się tu nie pokazywał, bo w Warszawie nastąpiła wpadka i trzeba uważać. Niech świnią ma wobec tego.

Potem nastąpiła konfrontacja pomiędzy Felusiem i Nideckim. Temu ostatniemu nie zostało nic innego, jak uzupełnić zeznanie Felusia.

Do skoku na muzeum namówił go Rosenwerth, twierdząc, że drobne interesiki, jakie prowadzą, niczego nie dadzą. Na zachodzie Europy - twierdził - jest masowo uprawiany handel dziełami sztuki, a on ma możliwości upłynnienia ich. W tym celu zwiedzili dokładnie muzeum. Najbardziej do handlu nadawały się zabytki sztuki zdobniczej. Nidecki zapalił się do tego pomysłu. Ściągnął z Warszawy Puwalskiego i ustalono, które eksponaty warto ukraść. Do pomocy był potrzebny fachowiec - dobry włamywacz. Tym fachowcem był Feluś. W ciągu kilku miesięcy opracowano szczegółowy plan. Z Warszawy przyjechał Puwalski ze Szkudlarkiem. Nidecki osobiście nie brał udziału w eskapadzie. Puwalski przywiózł cały towar do jego willi. W nocy mieli wyruszyć w drogę do Warszawy, aby skarby ukryć w pewnym schowku u Puwalskiego. Tymczasem w ostatniej chwili wysiadł silnik fiata. Na drugi dzień było już głośno w całej Polsce o włamaniu do muzeum. Bali się więc jechać ze skarbami, uważając, że samochody mogą być na trasie rewidowane. Skarby więc zostały ukryte po różnych dziurach.

Zaczęto realizować plan porwania samolotu. Łącznikiem pomiędzy nim a Kędziorkiem był Feluś. Kilka dni przed porwaniem zjawił się Rosenwerth. Zapakował do neseserka część skarbów i na dowód osobisty Konikowskiego, dostarczony przez Puwalskiego, wykupił bilet do Warszawy. Co się dalej stało, wiadomo. Gdy w Berlinie na pokładzie samolotu wybuchła petarda, pan Rosenwerth ze strachu zapomniał o neseserku. Wieczorem nadano komunikat o nieudanej próbie porwania samolotu, a rano zjawił się samochodem Puwalski, dowiedział się bowiem od Rosenwertha, że zgubił on neseserek. Przyjechał więc po resztę skarbów, by ukryć je u siebie. I to już wszystko.

- Niezupełnie. Jakim sposobem w neseserku znalazł się złoty krzyż, który nie został skradziony w muzeum?

- Tego naprawdę nie wiem. To była jakaś kombinacja Rosenwertha i Puwalskiego.

Po zlikwidowaniu gangu i odzyskaniu skradzionych w muzeum skarbów akcja „Muzeum” została

właściwie zakończona. Teraz pozostało tylko przeprowadzenie dochodzenia i oddanie sprawy do prokuratury, a dalej do sądu, który odpowiednio „nagrodzi” żyjących uczestników i współuczestników.

W dalszym ciągu nie została jeszcze rozwiązana sprawa romańskiego krzyża oraz śmierci Konikowskiego i Horoszki.

W ekspertyzie ekipy dochodzeniowej stwierdzono, że Konikowski został zamordowany dwoma uderzeniami łomu w tył głowy. Przy zamordowanym nie znaleziono dowodu osobistego. Pod zwłokami natomiast leżała kartka brystolu z nie dokończonym szkicem romańskiego krzyża. Prawdopodobnie Konikowski położył na płycie sarkofagu wyjęty ze schowka krzyż, wykonując rysunek dla reprodukcji. W pewnym momencie ktoś wszedł do kaplicy. Dwukrotnym uderzeniem łomu zabił Konikowskiego. Potem odsunął płytę, wyjął z kieszeni portfel z dowodem osobistym, wrzucił do sarkofagu kartkę papieru, a następnie zwłoki Konikowskiego. Zabrał krzyż, zasunął płytę, zamknął kaplicę, i odniósł do dworku klucz. Na łomie odkryto słabe ślady linii papilarnych, podobnych do linii odkrytych na sekretarzyku Horoszki.

Konikowski został zamordowany przypuszczalnie około dwóch miesięcy temu.

Można więc było przyjąć tezę, że ten sam osobnik zamordował Konikowskiego i Horoszkę. Przeszukując otoczenie dworku, wywiadowcy znaleźli w krzakach czwarty fajansowy kubek. Ponieważ od dłuższego czasu leżał on na deszczu, zatarły się linie papilarne, nie stwierdzono również śladów kardiogalu.

Adamski dokładnie przestudiował znalezione w sekretarzyku listy Janusza Sieklickiego z Wiednia. Wynikało z nich, że przysyła on Horoszce również lekarstwa, między innymi kardiogal, ostrzegając, by używał go bardzo ostrożnie, gdyż jest to silnie działający środek. W buteleczce brakowało dwunastu pastylek. Z treści listu wynikało, że Sieklicki wiedział o istnieniu romańskiego krzyża, a nawet czynił aluzje, że chętnie by go widział w Wiedniu. Półtora roku temu korespondencja urwała się.

Dlaczego? Co było tego powodem? - zastanawiał się Adamski.

Poza listami Sieklickiego nie znaleziono żadnej prywatnej korespondencji. Można by z tego wyciągnąć wniosek, że Horoszko nie miał bliższych znajomych. Czy tak było istotnie, trudno stwierdzić. Horoszko żył samotnie. Utrzymywał jednak liczne kontakty z mieszkańcami Sieklic Dużych. Bywał u Boreckiego, proboszcza, kierownika sklepu i gospody. Mieszkał tu i pracował od wielu lat, wszyscy go znali. Adamski przesłuchał wiele osób. Wszyscy wyrażali się o nim pochlebnie. Staruszek był lubiany. Nie udało się stwierdzić, by miał wrogów.

Wszystko wskazywało, że morderca musiał dobrze znać Horoszkę oraz drugą swoją ofiarę - Konikowskiego. Adamski starał się ustalić, czy w dniu popełnienia zbrodni zauważono w Sieklicach Dużych kogoś obcego. Jak zwykle w takich wypadkach relacje były różne i sprzeczne. Większość nikogo nie widziała. Wielu jednak twierdziło, że autobusem przyjechał jakiś obcy mężczyzna, podobno widziano go nad stawami, jedni mówili, że miał około pięćdziesięciu lat, inni że w granicach trzydziestu, brunet lub leż blondyn. Nic więc te informacje nie mówiły.

Adamski bliżej zainteresował się również Grochowiakiem. Dolnośląska milicja podawała, że Grochowiak dalej szaleje, bawi się i szasta pieniędzmi. Na polecenie MO Borecki odwołał Grochowiaka z urlopu. Stawił się w Sieklicach Dużych w ciągu dwóch dni. Adamski zabrał go na przesłuchanie do komendy.

- Grochowiak - zaczął Adamski - ściągnęliśmy was z urlopu, abyście nam powiedzieli...

- Słucham.

- Wiecie o tym, że Horoszko nie żyje?

- Wiem.

- Podobno widzieliście się z nim tuż przed śmiercią?

- Tak. Widziałem się z Horoszką w środę.

- W środę? Jak to było?

- Od środy miałem urlop i w południe wyjeżdżałem do Warszawy autobusem. Rano, około godziny dziewiątej, gdy wracałem z dyrekcji po odebraniu karty urlopowej, spotkałem Horoszkę. Szedł do inż. Boreckiego. Powiedziałem, że dyrektor jest w polu. „A coś ty taki elegancki?” - zapytał Horoszko. - „Jadę na urlop”. „Może przez Warszawę?” „Tak”. „To mam do ciebie prośbę”. Poszliśmy do hallu. Tam przy stole Horoszko włożył na nos okulary, wyciągnął z kieszeni kartkę. Napisał coś na niej i poprosił, abym wrzucił ją do skrzynki w Warszawie.

- Co napisał na kartce?

- Nie wiem. Nie czytałem. Kartka była adresowana do Komendy Głównej MO w Warszawie. Tego dnia po południu kartkę wrzuciłem do skrzynki.

- Dobrze. A poprzedniego dnia we wtorek widzieliście Horoszkę?

- Tak. We wtorek z polecenia dyrektora ściągnąłem z pola ścięty pień drzewa i zaciągnąłem go traktorem do gospodarstwa Horoszki. Podziękował mi i dał pięćdziesiąt złotych na ćwiartkę.

- I za te pięćdziesiąt złotych hasaliście przez dwa tygodnie na urlopie - zadrwił Adamski.

Grochowiak nie spieszył się.

- Pan porucznik żartuje. Jak można hulać za pięćdziesiąt złotych. Miałem ładną harmonię pieniędzy. Wygrałem w totolotka.

Grochowiak wyciągnął z portfela dowód stwierdzający, że wygrał prawie trzydzieści tysięcy złotych.

- Postanowiłem przez dwa tygodnie być panem całą gębą. Przynajmniej raz w życiu.

Grochowiak był więc w porządku.

- Czy dawno znaliście Horoszkę?

- Od urodzenia. On kiedyś pracował w Sieklicach Dużych u Sieklickich i przyjaźnił się z moim ojcem też tu pracującym.

- Wiem o tym. Jeszcze jedno pytanie. Czy słyszeliście kiedyś o dużym złotym krzyżu, który ponoć miał Horoszko?

- Słyszeć słyszałem. Wszyscy w okolicy o tym gadali. Ile w tym prawdy, nie wiem. Tak samo gadali o skarbach, które miał podobno Horoszko.

- Aha, jeszcze jedno. Skąd Horoszko wyjmował pieniądze, gdy dawał wam na ćwiartkę?

- Podszedł do tego biureczka, co stoi w kącie, i wyjął pięćdziesiątkę z środkowej szuflady.

- Nie zauważyliście, czy miał więcej pieniędzy?

- Nie zauważyłem, ale chyba musiał mieć.

Grochowiak wniósł więc do sprawy dwa ważne elementy. Wyjaśnił, jaką drogą trafiła kartka od Horoszki do Komendy Głównej, oraz potwierdził przypuszczenia, że Horoszko miał jakieś pieniądze.

Sprawa właściwie nie ruszyła z miejsca - nie natrafiono na ślad mordercy. Jedno było pewne, że morderca był niewątpliwie w kontakcie z gangiem i działał na jego polecenie. Z kim się kontaktował z Puwalskim czy Szkudlarkiem - nie wiadomo. Jakim sposobem odkrył tajemnicę schowka? Kto go namówił do kradzieży romańskiego krzyża? Czy morderca do kaplicy wszedł przypadkowo, gdy Konikowski kopiował krzyż, czy też śledził Konikowskiego? Czy Konikowski zamierzał wykonać kopię krzyża na własny użytek, czy też zamierzał ukraść krzyż, a do schowka włożyć kopię? Taka możliwość też istniała.

W kilka dni po przesłuchaniu Grochowiaka Adamski zorientował się, że śledztwo utknęło. Gnębiony dziesiątkami pytań i szeregiem niewiadomych wsiadł w samochód i pojechał do Warszawy.

Miłosz i jego współpracownicy byli zapracowani. Wśród lawiny nieistotnych ważnych faktów usiłowali oni znaleźć ślad kontaktu gangu z mordercą. Na razie nie dawało to rezultatu. Zarówno Nidecki, jak i Szkudlarek z uporem odżegnywali się od sprawy romańskiego krzyża.

Nikłe światło na tę sprawę rzuciła w jednym z zeznań przyjaciółka Puwalskiego - barmanka z „Yellow House”.

- Około trzech miesięcy temu Romek powiedział mi, że niebawem zrobi świetny interes. Będzie mógł rzucić machlojki, kupimy domek i tam osiedlimy się.

- Jaki to mógł być interes, nie domyśla się pani?

- Nie.

Trzy miesiące temu mógł mieć na myśli zarówno okradzenie muzeum, jak i romański krzyż. Prawowity właściciel krzyża mieszkał w Wiedniu, tam też przebywał Rosenwerth. Mogli się skontaktować i dojść do porozumienia. Rosenwerth mógł wciągnąć w tę akcję Puwalskiego. Ale to były wszystko tylko przypuszczenia.

Adamski zameldował się u Miłosza po południu. Miłosz wysłuchał relacji i uwag, pochwalił go za inicjatywę wykazaną w śledztwie, po czym stwierdził:

- Mam pewne przypuszczenia. Ich potwierdzenia będę szukał w Sieklicach Dużych. Pojedziemy tam jutro rano.

Wizytę w Sieklicach zaczęli od gospody ludowej. Wbrew przypuszczeniom nie była to pijalnia wódki. Czysto i estetycznie urządzona, w jadłospisie różne potrawy. Kapitan zapytał kierownika, czy znał Konikowskiego.

- Naturalnie, że znałem. Kiedy pracował w kościele, często tu przychodził.

- W czyim towarzystwie?

- Zawsze sam. Tu się do kogoś przysiadają. Bo znał wszystkich. Wypijali pół litra, czasem litr i rozchodzili się.

- Awantur nie było?

- Nie.

- A proszę pana, czy Konikowski miał tu jakichś wrogów?

- Nie słyszałem o tym. Był to człowiek towarzyski. Z nikim nie zadzierał.

Z gospody poszli na pocztę. Przed budynkiem starej karczmy stał samochód pocztowy, z jego wnętrza wnosili paczki chudy, wysoki mężczyzna w mundurze pocztowca.

- Czy to jest kierownik urzędu?

- Nie - wyjaśnił Adamski - kierownikiem jest Rogala, nie widzę go tu, a to jego pomocnik, Nowaczyński. Ten, który poinformował o liście do Horoszki z Wiednia.

- Dobrze. Pogadam z nim.

Gdy Nowaczyński zaniósł paczki do urzędu i podpisał odbiór, obaj oficerowie weszli do środka.

- Dzień dobry. Czy zastaliśmy kierownika?

- Dzień dobry. Nie, pan Rogala jest w terenie. Ale ja też mogę udzielić informacji.

- Dobrze. Pracuje was tu dwóch. Kto dostarcza pocztę do domów?

- Różnie bywa. Czasem ja, czasem Rogala. Ale najczęściej to ludzie sami przychodzą na pocztę.

Bo rejon jest niewielki.

- Czy pamięta pan, jak wyglądał ten list do Horoszki?

- Tak, jak mówiłem. Duży, niebieski. Zza granicy.

- Z jakiego państwa?

- Nie wiem. Nie interesowałem się.

- A nie przypomina pan sobie, czy Horoszko często takie listy otrzymywał?

- Nie pamiętam.

- A Konikowskiego pan znalazł?

- Tego malarza. Znałem. Przychodził na pocztę, aby podejmować pieniądze z książeczki PKO.

- A listy do niego przychodziły?

- Też nie pamiętam

Wpadli jeszcze na chwilę do proboszcza. Tu uzyskali potwierdzenie tego, co proboszcz zeznał w komendzie. 7 lipca wręczył Konikowskiemu za pokwitowaniem dziesięć tysięcy złotych na zakup farb do fresków. Kilka dni później Konikowski zniknął, Ani farb, ani pieniędzy.

- Źle myślałem o biedaku - mówił pleban - aż tu się dowiaduję, że go zamordowano. Mało zamordowano, ale jeszcze i obrabowano. Straszna rzecz. Czy panowie wykryli już mordercę?

- Na razie jeszcze nie. Może ksiądz wie, czy Konikowski miał wrogów?

- Nie. Nie wiem.

- A czy w czasie pracy nikt Konikowskiego nie odwiedzał, nikt do niego nie przyjeżdżał?

- Nikogo tu nie było. To już zeznawałem. .

Podziękowali proboszczowi i udali się do PGR. Boreckiego zastali w gabinecie grzebiącego w aparacie fotograficznym.

- Zacięła się migawka i nie mogę sobie dać z nią rady.

- Widzę, że dyrektor jest fotografem.

- A tak. Każdy w życiu musi mieć jakiegoś konika. Tym bardziej gdy pracuje się w takiej dziurze zabitej deskami. Cóż robić wieczorami? Wywołuję i robię odbitki. Niestety, zaczyna mi już brakować tematu. Obfotografowałem już całe Sieklice.

Dyrektor otworzył szufladę biurka i wyjął kilka zdjęć.

- To jest duma Sieklic, kościół barokowy, to nasz dworek, to stara poczta, to fragment parku, to traktory w polu - objaśniał Borecki.

Miłosz ciekawie oglądał zdjęcia, miały ciekawe ujęcia i były bardzo dobrze wykonane.

- Czy mógłby pan dać mi kilka zdjęć? - zapytał Miłosz.

- Bardzo chętnie, jeśli pana kapitana interesują Sieklice.

Miłosz wybrał parę zdjęć, włożył je do teczki, po czym znów się wypytywał o Konikowskiego. Nie dowiedzieli się jednak nic więcej i wkrótce pożegnali się z Boreckim.

W milczeniu szli w stronę placu, gdzie zostawili milicyjnego fiata. W alejce stało kilka ławek. Miłosz zajął miejsce na jednej z nich zapraszając Adamskiego.

- Poruczniku, zdaje się, że wpadłem na właściwy trop, posłuchajcie, co wam powiem...

Minęły dwa dni. Cały zespół związany z akcją „Muzeum” prowadził dalej śledztwo, szukając śladów powiązania gangu z mordercą Konikowskiego. Kapitan kilka razy odebrał telefony od Adamskiego. Po jednym z nich odezwał się do Romaniaka.

- Nie szukajcie w gangu mordercy Konikowskiego i Horoszki. Tajemnica rozwikła się w Sieklicach.

- Czy są jakieś pomyslnie wiadomości?

- Zdaje się, że tak. Wyjaśni się to jutro, najpóźniej pojutrze - dodał z tajemniczym uśmiechem.

Tego dnia po południu powiadomił wszystkich swoich współpracowników, by nazajutrz rano stawili się w jego gabinecie.

Na drugi dzień kapitan rozpoczął konferencję z pracownikami.

- Zapomnijcie na krótki czas o gangu, o tym, co się działo we Wrocławiu i na pokładzie samolotu SP-LTF. Przenieśmy się natomiast myślami do Sieklic Dużych i Leśnych.

Po zapoznaniu się z okolicznościami śmierci Horoszki doszedłem do wniosku, że miało tu miejsce morderstwo. Początkowo byłem skłonny uwierzyć, że mógł go popełnić Konikowski. Osobnik bowiem, który przybył wieczorem do dworku Horoszki, musiał być jego znajomym. Jakiś czas rozmawiali, potem w sprytny sposób podsunął mu truciznę, a po śmierci splądrował biurko, czegoś tam szukając. Bardzo wątpliwe, czy szukał tylko pieniędzy. W pół godziny później teza, że był

to Konikowski, upadła. Znaleźliśmy bowiem jego zwłoki. Teza jednak, że był to znajomy Horoszki, dalej się potwierdzała. Linie papilarne tego samego osobnika na łomie i na sekretarzyku potwierdziły, że morderca był jeden. Kto? Komu mogło zależeć jednocześnie na śmierci Konikowskiego i Horoszki?

Przeprowadzone później skrupulatne śledztwo pod kierunkiem ppor. Adamskiego nie potwierdziło, by w tym okresie przybywał do Sieklic ktoś obcy, nie znany mieszkańcom. A przecież trudno sobie wyobrazić, by do Sieklic, połączonych ze światem jedną linią autobusową, mógł przybyć ktoś niepostrzeżenie. Zacząłem więc szukać mordercy wśród stałych mieszkańców Sieklic Dużych. Początkowo nie mogłem trafić na żaden ślad. Pomogło mi fotograficzne hobby inż. Boreckiego - na jednym z jego zdjęć...

W tym momencie odezwał się telefon. Kapitan podniósł słuchawkę.

- Słucham. Doskonale. Przyjdźcie natychmiast do mego gabinetu.

- To Adamski, telefonuje z dołu. Przywiózł pod eskortą mordercę. Zaraz tu się zjawia.

Przez kilka minut w gabinecie panowało milczenie. Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich Adamski, prowadząc skutego w kajdanki Rogalę - kierownika Urzędu Pocztowego w Sieklicach Dużych.

- Rogala - zapytał kapitan Miłosz - czy przyznajecie się do zamordowania Konikowskiego i Horoszki?

- Konikowskiego tak. Horoszki nie zabiłem.

- To się okaże później. Opowiedzcie, jak to było, co was do tego skłoniło?

- Kiedyś niosłem do Horoszki list zza granicy. Wyczułem, że w środku coś jest poza kartką. List był zwykły. Otworzyłem i znalazłem dwadzieścia dolarów. Pomyślałem, po co staremu dolary. Wziąłem je. List chciałem wyrzucić, ale zainteresowało mnie, co pisze Janusz Sieklicki, i przeczytałem go. Pisał on o złotym krzyżu. Było tam powiedziane, że chciałby go mieć w Wiedniu. To jest trudne. Ale ma znajomego w Polsce, który mu to może załatwić. Nazywa się Puwalski. On już o tym wie. Niech więc Horoszko skontaktuje się z nim, powołując się na stryja Zenona.

O tym krzyżu mówiło się w okolicy. Jedni wierzyli, inni nie wierzyli. Ja tam nie wierzyłem. Teraz okazało się, że istnieje. List zniszczyłem, ale nie miałem spokoju. Kilka miesięcy później spotkałem w gospodzie Konikowskiego. Wypiliśmy pół litra. Konikowski zapytał mnie, czy słyszałem o krzyżu. Powiedziałem, że tak. A dalej, czy wierzę w jego istnienie. Powiedziałem, że wątpię. On mi na to odpowiedział, że krzyż istnieje. Mało tego - niedawno go widział. Pokazywał go Horoszko. „W domu trzyma i nie boi się, że mu skradną? Nie w domu, w kaplicy. Jest tam sprytny schowek”. Postawiłem wódkę, aby coś się więcej dowiedzieć o schowku, ale Konikowski nie puścił farby. Postanowiłem skontaktować się z Puwalskim. Napisałem do niego list. Powołałem się na stryja Zenona i powiedziałem, że stary Horoszko jest chory i upoważnił mnie do omówienia sprawy krzyża. Puwalski przyjechał do Sieklic samochodem.

- Białym polskim fiatem? - spytał Miłosz.

- Tak. Specjalnie się nie interesowałem, czy Horoszko naprawdę upoważnił mnie. Jego interesował tylko krzyż i fakt, że wiem, gdzie jest schowany. Bo ja mu powiedziałem, że wiem dokładnie, gdzie jest schowany. To on od razu zapytał, kiedy będzie mógł wyjąć krzyż ze schowka. Powiedziałem, że trochę potrwa, bo tam właśnie robi się prace konserwatorskie i trzeba poczekać. I jak tylko będę miał krzyż, to do niego napiszę. Nie zgodził się na to, bo to było niebezpieczne. Powiedział mi, że jak będę miał u siebie krzyż, to mam natychmiast dać w „Życiu Warszawy” ogłoszenie; „Sprzedam pasiekę - wiadomość pod numer itd.” Piątego dnia od ukazania się ogłoszenia spotkamy się o godzinie siedemnastej w lasku przy szosie, za Zadroniem. On tam będzie czekał w samochodzie. Ile dostanę, zapytałem. Chciał mi dać dwieście tys. zł, ostatecznie stanęło na trzystu. Kwota ta wydała mi się tak astronomiczna, że po prostu nie mogłem jej sobie wyobrazić. Całe życie spędziłem w tej dziurze. Trzysta tysięcy złotych pozwoliłoby mi zacząć nowe życie.

- Jakie to miało być to nowe życie? - zapytał Miłosz.

- Nie bardzo je sobie wyobrażałem. Marzyłem o małym domku w podgórskiej okolicy. Raz byłem na wczasach w Polanicy i tam widziałem takie domki. Aby to zrealizować, musiałem mieć krzyż. Wszystko jedno, za jaką cenę. Potem Konikowski wyjechał na miesiąc. Udało mi się dostać do kaplicy. Szukałem schowka. Spieszyło mi się. Pilnowałem korespondencji przychodzącej do Horoszki. Znów przyszedł list pisany przez Sieklickiego, zniszczyłem go, zabierając dolary. Gdy wrócił Konikowski, zaprosiłem go na wódkę. Postanowiłem porozmawiać o krzyżu. Powiedziałem mu, że znam takiego, co by kupił krzyż. Ale Konikowski powiedział mi, że jestem starym osłem. Możliwość posiadania własnego domku nie dawała mi jednak spokoju. Było to w końcu maja. Poszedłem do Horoszki z pismem z PRRN. Horoszki nie zastałem. Położyłem pismo na stole, a wychodząc zauważyłem, że w przedsionku nie ma klucza od kaplicy. Pomyślałem, że Horoszko tam poszedł. Gdy wszedłem do kaplicy, zobaczyłem Konikowskiego. Stał nad sarkofagiem coś rysując. Gdy się zbliżyłem, zauważyłem, że rysuje on krzyż, który leżał na sarkofagu. Zaproponowałem mu spółkę. „Już raz panu mówiłem, że jest pan starym osłem”. Odwrócił się do mnie tyłem i dalej rysował. Sam nie wiem, jak to się stało. Złapałem leżący na sarkofagu łom i z całej siły dwukrotnie uderzyłem Konikowskiego w tył głowy. Wtedy dopiero zdałem sobie sprawę z tego, co zrobiłem. Konikowski nie żył. Wyjąłem z kieszeni portfel. W środku było dziesięć tysięcy złotych i dowód osobisty. Zabrałem to wszystko. Potem odsunąłem płytę sarkofagu, wrzucając do grobowca zwłoki Konikowskiego. Wydało mi się, że nigdy nikt ich tam nie znajdzie. Klucz od kaplicy zaniósłem do dworku. Jeszcze tego samego dnia dałem ustalone ogłoszenie i pięć dni po ukazaniu się ogłoszenia stawiałem się w umówionym miejscu. Po dziesięciu minutach przyjechał swoim fiatem Puwalski. „Ma pan krzyż”? - zapytał z miejsca. „Mam”. Dałem mu zawiniątko, gdzie zawinięty w gazety i szmaty znajdował się krzyż. Zapomniałem, że jest tam też dowód osobisty Konikowskiego. Gdy Puwalski zobaczył krzyż, zaświeciły mu się oczy. Zapytał o dowód. Powiedziałem, że to tego, co pilnował krzyża. „I co, zrobił pan z nim porządek? Lubię takich. A ten dowód to mi się przyda”. I zabrał go. Upomniałem się o pieniądze. Zaczął się dopytywać, co zrobię z forszą? Mówię, że domek chciałbym mieć gdzieś w górach. „Zrobi się - powiedział - choć to nie jest proste”. Bo jak udowodnię, że skromny pracownik poczty kupuje domek za trzysta tysięcy złotych. Obiecał, że najpóźniej za miesiąc będę właścicielem domku. Zabrał krzyż i pojechał. Nie zobaczyłem już ani Puwalskiego, ani domku.

- I nie zobaczycie już - powiedział Miłosz. - A dlaczego i jak zamordowaliście Horoszkę?

- Horoszki nie zamordowałem. Było to tak. W czasie mojej nieobecności nadszedł od Sieklickiego list. Mój zastępca dał go Horoszce. Wiedziałem, że teraz może nastąpić wpadka, bo Horoszko zorientuje się, że ginęły mu listy. Poza tym chciałem wiedzieć, co pisze Sieklicki. Postanowiłem iść do Horoszki. Chciałem go wy badać i jeżeli się uda, wyciągnąć od niego ten list. Zastałem go przy kolacji. Przyjął mnie obojętnie. W pewnym momencie Horoszce zrobiło się słabo. „Panie Rogala - powiedział - w apteczce stoi słoiczek z napisem kardiolgal, niech pan mi go poda”. Gdy przyniosłem słoiczek, poprosił o kubek wody. Kubek stał na stole. Nabrałem wody i przyniosłem do pokoju. Horoszko na pół leżał, na pół siedział w fotelu. Widziałem, jak wziął dwie, a może nawet trzy pastylki, drżącymi rękami wrzucił je do wody i wypił. Sądziłem, że zaraz dojdzie do siebie. Tymczasem zrobił się siny, na ustach ukazała się piana. Pojąłem, że to Śmierć. Nie wiedziałem, co robić. Zawiadomić MO? Mogą mnie posądzić o zamordowanie Horoszki. Postanowiłem skorzystać z okazji i przeszukać biurko Horoszki. Znalazłem list. Nic o mnie tam nie było. Sieklicki pytał natomiast Horoszkę, czy był u niego Puwalski w sprawie krzyża. Dawno już miał się skontaktować i przysłać krzyż do Wiednia. Puwalski milczy i to go dziwi. Prosi więc, by Horoszko to wyjaśnił. List zabrałem i zniszczyłem go, bo przecież przez Puwalskiego milicja mogła trafić do mnie. Choć po prawdzie wiele rzeczy nie rozumiałem.

- Ale my rozumiemy, Rogala. A pieniądze z biurka wzięliście?

- Tak. Leżało tam tysiąc osiemset złotych. Zabrałem je. Pomyślałem, że jak będzie wyglądało na morderstwo, to będzie można uważać, że na tle rabunkowym. Wychodząc postawiłem kardiolgal na samym środku półeczki. A kubek, z którego pił wodę, wyrzuciłem w krzaki. Tam mogły być ślady moich palców.

- To wszystko, co macie do powiedzenia?

- Tak.

- Na wstępie to wystarczy. Resztę powiecie, jak sobie przypomnicie. Odprowadzić go - polecił milicjantom.

Zapanowało milczenie. Nikt z obecnych tu oficerów nie znał Rogali ani jego przeszłości, ani charakteru, każdego z nich interesowało, jak to się mogło stać, by wizja własnego domku w górach doprowadziła do zbrodni. Jednej czy dwóch?

- Może pan kapitan opowie, jak wpadł na trop Rogali - zaproponował jeden z oficerów.

- Chętnie się podzielę uwagami, choćby ze względu na potrzebę wyciągnięcia doświadczeń. Gdy dostałem ekspertyzy, nie miałem wątpliwości, że zbrodniarz musiał pochodzić z Sieklic Dużych. Nie do pomyslenia było, aby pojawił się on dwukrotnie w tej dziurze i nikt go nie zauważył. Mieszkańców w Sieklicach Dużych jest niewiele, od biedy można by więc porobić odciski palców i to rozwiązałoby problem. Tylko jeden mieszkaniec miał pewne alibi - to był Grochowiak, przebywający na wczasach. W ostateczności zastosowałbym metodę masowego robienia odcisków palców, ale zanim to nastąpiło, uśmiechnęło się do mnie szczęście. Kiedy byliśmy u Boreckiego,

dowiedziałem się, że pasjonuje go fotografowanie. Przeglądając zrobione przez niego zdjęcia, znalazłem jedno wiele mówiące. Porucznik Adamski wykonał jego powiększenie i co ono nam powiedziało. Proszę.

Adamski wyjął z teczki kilka zdjęć, rozdając je wśród obecnych. Przedstawiały one starą karczmę w Sieklicach. Przed budynkiem stał biały polski fiat, obok Rogala i koło niego...

- Puwalski - stwierdził Romaniak. Numer rejestracyjny samochodu też się zgadza. TO-2910.

- Tak. Wszystko się zgadzało. Teraz tylko należało porównać linie papilarne Rogali ze śladami linii zabójcy.

- Też się zgadzały - stwierdził Adamski.

- I dzięki temu ujęliśmy mordercę. Listu Janusza Sieklickiego, niestety, nie mamy. Jeżeli jest prawdą to, co mówił Rogala, to Sieklicki znał Rosenwertha, ten z kolei sprawę krzyża romańskiego przekazał Puwalskiemu. Zanim ten wybrał się w imieniu stryja Zenona do Horoszki, dostał list od Rogali. Wpadł więc na pomysł, aby wykiwać Sieklickiego i podzielić się łupem z Rosenwerthem. Możliwe, że Rosenwerth z kolei oszukałby Puwalskiego... Tak więc Puwalski skorzystał z oferty Rogali. Potem naturalnie kiwnął Rogale, bo tego wymarzonego domku, dla którego popełnił morderstwo, nie zobaczyłby nigdy w życiu. Druga sprawa to śmierć Horoszki. Czy istotnie Horoszko prosił Rogale o kardiogal i czy istotnie sam zażył dwie czy też trzy tabletki? Czy też może Rogala znając to lekarstwo dorzucił dwie tabletki? Tego śledztwo nie wykaże. Zobaczymy, jakie stanowisko zajmie sąd. W każdym razie, tak czy tak, za zabójstwo Konikowskiego czeka go stryczek. No do roboty, koledzy. Nie brakuje nam jej - zakończył Miłosz wstając z fotela.